NRLF-1
MAIN

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/wyborkazan0000oaug

O. Augustyn da Montefeltro.

Wybór kazań O. Augustyna da Montefeltro.

O. Augustyn da Montefeltro.

WYBÓR KAZAŃ

wygłoszonych

w rzymskim kościele S. Carlo al Corso.

Z oryginału włoskiego.

POZNAŃ.
Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha.
1909.

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

252.5
m77
c1

Wolno drukować.

Poznań, dnia 1-go czerwca 1909.

(L. S.) Konsystorz Jeneralny Administratorski.

X. Echaust.

Spis kazań.

		Str.
I.	Prawda	1
II.	Istnienie Boga	12
III.	Kto jest Bóg?	25
IV.	Dusza w umiejętności i w sztukach pięknych	37
V.	Nieśmiertelność duszy	52
VI.	Konieczność religii	70
VII.	Źródła niewiary	86
VIII.	Rodzina i religia	101
IX.	Święty Józef	119
X.	Marya	135
XI.	Jezus Chrystus	150

Przedmowa.

O. Augustyn da Montefeltro był synem zamożnej rodziny Vicinich, osiadłej z dawna w toskańskim mieście Montefeltro. Urodzony 1 marca 1843 otrzymał na chrzcie imię Ludwika. Niższe i średnie szkoły kończył w mieście rodzinnem, poczem studyował prawo cywilne i kościelne w uniwersytecie Urbinackim. Od służby wojskowej nie bez trudności zwolniony z powodu nazbyt wątłego zdrowia, przerzucił się następnie do nauk teologicznych i w r. 1867 otrzymał święcenia kapłańskie, a dzięki familijnemu patronatowi niebawem został kanonikiem w Montefeltro. Nieporozumienie zaszłe między młodym prałatem a biskupem, skończyło się tem, że X. Luigi Vicini musiał odbyć ośmiodniowe rekolekcye. Obrał sobie w tym celu franciszkański klasztor w Monte Alvernia, gdzie

niegdyś najżarliwszy miłośnik Chrystusa, św. Franciszek z Assyżu stygmata ran Pańskich otrzymał. W ciszy klasztornej i duchowych ćwiczeniach tak upodobał sobie X. Ludwik, że po upływie dni ośmiu prosił o przedłużenie rekolekcyi.

Tam na górze Alvernii znalazł sam siebie i swoje powołanie. Wprawdzie powrócił jeszcze do Montefeltro, lecz w świeckim swoim kanonikacie nie zaznał już ani spokoju ani zadowolenia wnętrznego.

Jakoż pożegnany błogosławieństwem biskupa porzuca świat i udaje się do franciszkańskiego klasztoru w Santa Maria Incontro pod Florencyą. Było to zgromadzenie założone jeszcze przez św. Leonarda i zachowujące nader surową regułę. Przeorem był wówczas O. Andrea da Quarto znany zarówno z wielkiej nauki jak niezwykłej świątobliwości.

Od chwili wstąpienia w mury klasztorne postulant przylgnął całą duszą do przeora. Nie odstępuje pobożnego męża w jego misyjnych wyprawach i niestrudzonym jest mu pomocnikiem w pracach kaznodziejskich. Węzły tej

przyjaźni, zadzierzgnięte u progu życia zakonnego, przetrwać miały do śmierci.

Tymczasem 1874 składa X. Vicini proste śluby, a wkrótce potem uroczystą profesyę na ręce Generała Franciszkanów w assyskim kościele Portiunculi i przybiera imię Augustyna.

O. Andrea da Quarto dopełnia bogobojnego żywota w r. 1879. Osierocony zgonem starszego przyjaciela, ojca swego niejako w zakonie, rozpoczyna Padre Agostino samoistne działanie kaznodziejskie. Z pozwoleniem przełożonych swoich każe kolejno w Bolonii, Pizie, Florencyi, Genui, Turynie, Rzymie, a wszędzie ambonę otaczają nieprzeliczone zastępy słuchaczów. Towarzyszy mu nieodstępnie rozgłos wybornego mówcy i głębokiego myśliciela, który najbardziej piekące zagadnienia nowożytnej duszy ludzkiej umie oświetlić ze stanowiska chrześciańskiego, zbrojny w gruntowną wiedzę i natchniony żarliwą miłością Boga i bliźniego.

Św. Tomasz z Aquinu i św. Bonawentura przewodniczą mu w dziedzinie filozofii scholastycznej; z Ojców Kościoła św. Augustyn i św. Chryzostom stanowią podwalinę jego wywodów

teologicznych. Ale niemniej całokształt wszelkiej nauki nowoczesnej, zdobyty usilną pracą stoi dlań otworem. Język włoski nieskazitelnie czysty, iście klasyczny; styl jędrny, prosty i przejrzysty; dziwny dar łatwego i przystępnego przedstawiania rzeczy najtrudniejszych i najzawilszych; sposób mówienia spokojny, choć żywy i szybki, bez cienia jakiejkolwiek afektacyi a z porywającym zapałem, wszystko to sprawiało, że gdziekolwiek pojawił się Padre Agostino da Montefeltro tam garnęły się doń rzesze zarówno prostaczków jak uczonych. We Włoszech nurtowanych prądami wrogimi chrześciaństwu i Kościołowi od dawien dawna nie pamiętano takiego siewcy słowa Bożego.

Nie dziw, że na polu wymowy kościelnej stał się on zjawiskiem niepospolitem i zajął jako kaznodzieja katolicki jedno z najpoczesniejszych miejsc w XIX stuleciu. To też kazania jego doczekały się przekładów na wszystkie języki katolickich narodów i szeroko po świecie rozniosło imię Agostina da Montefeltro. Po polsku wyszedł pełny przekład X. Gwardyana Janickiego, a równocześnie kończy się

druk niniejszy wyboru najsłynniejszych kazań wypowiedzianych swego czasu w rzymskim kościele San Carlo in Corso.

Dokonane rzetelnie i starannie z oryginału włoskiego, tłómaczenie to ma na celu nietylko jak najwierniejsze oddanie stylu i języka znakomitego kaznodziei, lecz także ducha, który go przenikał i zagrzewał.

Zaopatrzona zwięzłą wiadomością o świątobliwym zakonniku, niechajże w świat idzie ta praca jego zbożna odziana polską szatą. Dobra książka jest zarazem dobrym czynem, bo wśród zuchwałych zaprzeczeń wszystkiego, co święte na niebie i ziemi, utwierdza Wiarę, w czarnym odmęcie zwątpień głosi Nadzieję, — w rozszalałej nienawiści dni dzisiejszych sieje zbawczą Miłość.

Lucyan Rydel.

Przedmowa tłomacza.

Jednym z najznakomitszych współczesnych kaznodziei, był niezaprzeczenie Padre Agostino da Montefeltro, którego konferencye w Rzymie przed laty, tak sprzeczne wywoływały skutki, bo kiedy u jednych budziły najwyższe uwielbienie i cześć dla kaznodziei, tak znów z drugiej strony włoscy sekciarze widząc w Ojcu Augustynie niebezpiecznego przeciwnika, chcieli go się koniecznie pozbyć, godząc nawet na jego życie, bądź napadaniem na ulicy, bądź nawet podkładaniem bomb dynamitowych pod ambonę, z której miał przemawiać, i cudem prawdziwie nazwać można, że owa złość ludzka nie pozbawiła go życia.

Wprawdzie zdawaćby się mogło, że przedmiot tych konferencyi, które przeważnie starają się dowieść istnienia Boga, nieśmiertelności duszy, konieczności religii, czyni je w naszem społeczeństwie zbytecznemi, gdyż są to prawdy nie podlegające może u nas dzięki

Bogu takim wątpliwościom jak gdzieindziej — gdy jednak i u nas, zwłaszcza między młodzieżą, można się spotkać z bardzo chwiejnemi pod tym względem zasadami, może więc i w polskim języku konferencye te nie ukażą się bez korzyści. W każdym razie zdawało mi się, że zapoznanie polskich czytelników, z tak znakomitą osobistością, jaką bez zaprzeczenia był Padre Agostino da Montefeltro, może być wielce pożyteczne.

A. C.

Od nakładcy.

X. Gwardyan Janicki z Krakowa, mając autoryzacyę na przekład polski wszystkich kazań O. Montefeltro nie odmówił nam jej na nasze wydanie »Wyboru«.

Tem większa Mu za to z naszej strony należy się wdzięczność, iż sam wydaje równocześnie wielką edycyę czterotomową tychże kazań.

Za przysługę tę wielką składamy gorące podziękowanie.

Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha.

I.

Prawda.

Zabierając się do tych konferencyi wziąłem sobie za zadanie jeden cel, a tym celem jest dać wam poznać prawdę, tę jedyną przewodniczkę, za którą iść powinni śmiertelni, na niebezpiecznej drodze życia. — Kiedy się przypatrzymy tryumfalnemu pochodowi naszego wieku, człowiek zwyczajny staje oszołomiony nieustającym postępem, i zachwycony nabytkami nauki i wolności; ale mędrzec przeciwnie zapatrujący się na rzeczy głębiej, a nie z pozorów, jest przejęty boleścią, i z bojaźnią myśli o przyszłości naszego nowoczesnego społeczeństwa, gdyż gdziekolwiek zwróci oczy, widzi tylko niezaspokojone pragnienia, i słyszy tylko jęki boleści, lub głosy przekleństwa.

I skądże pochodzi ten stan tak zastraszający? — Pochodzi stąd, że żyjemy w kłamstwie; pochodzi stąd, że rozum i miłość, charaktery i zwyczaje wszystko jest fałszywe; pochodzi wreszcie stąd, że w społeczeństwie są dwie klasy zawsze w walce ze sobą: boga-

cze i ubodzy. Nie zapieram się zaś, że i dla tych ostatnich są i moje uczucia i moje modlitwy.

I ja niegdyś miałem nieszczęście oddalenia się od prawdy. Co czytaliście o mnie, nie wiem; nie wiem, czy było co w tem wszystkiem prawdy, ponieważ nigdy nie chciałem wiedzieć, co o mnie pisano, a tem mniej nie mówiłem nigdy o sobie i o swojej przeszłości. Byłem wielkim grzesznikiem, później modlitwy mojej matki i pomoc Boża zwróciły mnie na prawdziwą drogę. Nawrócony — doświadczyłem jak wiele jest ucisku i boleści w świecie, pojąłem cierpienia słabych i uciśnionych, a w sercu mojem obudziło się pragnienie żywe i gorące, ażeby tych, którzy posiadają prawdę, jeszcze w niej utwierdzić, a tym, którzy ją utracili, dopomódz do jej odzyskania.

Jeżeli mnie osobiście brakuje cnoty, to jednak nigdy ustom moim nie zabraknie słowa szczerego i pocieszającego, słowa prawdy, tej prawdy, w której świetle wszyscy chrześcijanie powinni żyć i umierać, którą — proszę Boga, aby dał mi zatwierdzić ostatniem mojem tchnieniem.

Nie przyszedłem ja do was w imieniu jakiegoś stronnictwa; ale przychodzę w świętym imieniu Boga, przynoszę wam apostolskie słowo pokoju, a nie słowo wojny. — Żyjemy w wieku, w którym przeciwko tryumfom zbudowanym na fałszach, i przeciwko brakowi charakterów, trzeba postawić dzielne i odważne stwierdzenie prawdy. A więc i ja tej

prawdy nie chcę trzymać uwięzionej w głębi mojego umysłu, lecz pragnę, ażeby ona zabłysła w świetle słońca, jak w świetle słońca błyszczy chorągiew Chrystusa, na której są wypisane te dwa najświętsze słowa:

Miłość — Prawda.

O Jezu! drogi mój Mistrzu! Prawdo i Miłości wcielona! Natchnij słowa moje prawdą i miłością Twoją, udziel im Swojego świętego błogosławieństwa i łaski, rozpal w nas płomień Twojej miłości, i racz ożywić ono ziarno prawdy dane nam na chrzcie świętym, niechaj rośnie, rozkrzewi się i uczyni nas świętymi!

Jezus powiedział: „Ja jestem Prawdą, kto was słucha, mnie słucha". Największem złem dzisiejszego naszego społeczeństwa jest lekceważenie prawdy, tej prawdy, która jest pierwiastkiem wszelkiego dobra, pierwiastkiem cnoty, szczęśliwości i wszelkich szlachetnych porywów i zachwytów. Wielu filozofów wzięło sobie za zadanie nauczanie tej lub owej prawdy, ale nikt tak jak Jezus nie może powiedzieć, że naucza całej prawdy, a tem więcej nie może powiedzieć: „Ja jestem prawdą". Historya świata, jego przewrotów, jego błędów i jego zdobyczy nie jest niczem innem, jak historyą walki z tą prawdą.

Wiek dzisiejszy wziął za godło dewizę Piłata: *Quid est veritas?* i każdy utrzymuje, że chce ją podtrzymać, jej nauczać i bronić. Niektórzy mają szczerość Miltońskiego anioła, który przypatrując się słońcu, jest niem zachwy-

cony i woła: „Jakże jesteś pięknem! i dla tego nienawidzę cię“. Wszyscy mówią o prawdzie nie rozumiejąc jej. A przecież są prawdy zasadnicze, podstawowe, bez których świat byłby zagadką nierozwiązaną. Niegdyś takie prawdy, w których leżała cała moralna siła naszych przodków, nie podlegały nawet roztrząsaniom; dzisiaj przeciwko nim właśnie prowadzi się walka zażarta; dzisiaj filozofowie je obalają; i ta praca niszczenia rozpoczęta wśród klas wyższych, dosięga i do prostego ludu.

Jakież tego następstwa? Wieczne powątpiewanie, i ciągłe zaprzeczanie. Dzisiaj nie walczy się już przeciw Kościołowi, przeciwko Papieżowi i chrześcijaństwu, ale przeciwko samemu Bogu. Dzisiejsze społeczeństwo to statek bez sternika na drodze do zatopienia. Dziś zaprzecza się Opatrzności, a na miejsce jej cudownych rządów podsunięto słowo M a t e r y a: materya odwieczna, przez którą człowiek stał się materyalną siłą, która nie wie, ani skąd przyszła, ani dokąd idzie. Za naszych czasów każde zjawisko musi być przestudyowane i przedysputowane, z każdej przyczyny wyprowadzone skutki. Ażeby zaś wydać wojnę Bogu i prawdzie woła się: „Na co myśleć o Bogu, o przyszłości? Czyż istnieje jaki Bóg, jaka wieczność? Nieśmiertelność duszy jest utopią tylko, i nie dla nas takie idealne mrzonki, gdyż człowiek jest tylko — bydlęciem“.

I oto do czego dochodzi spaczenie i obałamucenie rozumu. Z tego spaczenia rozumu wynika spaczenie i zbezczeszczenie miłości. Nie znamy już wzniosłych uczuć, nie mamy już poczucia dla rozkoszy duchowych; i miłość przestała być piękną, ponieważ jej przedmiot nie jest już wart uwielbienia, więc goni się tylko za przyjemnościami zmysłowemi, zwierzęcemi. Nie mamy już ucha, gdy kto mówi o poświęceniu się, o chwale, o wyrzeczeniu, ale gdy nam mówią o balach, ucztach, widowiskach i innych zmysłowych uciechach. Dla tych rozkoszy wszyskie porywy, cały zapał — dla cnoty... nic! Nieszczęścia ojczyzny, boleści rodziny już nie poruszają mężczyzny, lecz za to poruszy go kobieta, która uwieńczona kwiatami, z uśmiechem czarującym na ustach, upaja go, woła i ciągnie z uczty na ucztę, każąc mu wychylać kielich wszystkich niegodziwości.

Za owem zepsuciem miłości idzie jako naturalne następstwo zepsucie obyczajów. Nie można działać dobrze, gdy się źle wierzy, i gdy się źle kocha. Pod gruzami cnoty, pogrzebano zarazem honor, uczciwość i zacność, a sceptycyzm wydał zmysłowość.

Człowiek może się jeszcze podnieść z tego błota, lecz naród — nigdy, chcąc bowiem, żeby się inaczej działo, trzebaby rozpocząć jego wychowanie od samych początków.

Biedna młodzież zostaje bez zasad, bez wiary w przyszłość, bez niewinności; wiek dojrzały nie zajmuje się własnem dobrem

i dobrem rodziny, a starość nawet nie może się zdobyć na skruchę. Wszędzie widzimy tylko pracowników szatana; zamiast Sakramentów i modlitw Kościoła, wznosi się tylko straszny głos złorzeczenia przeciwko wszystkiemu co się nazywa religią.

Ogniska domowe przejmują wstrętem: łoża małżeńskie bez honoru, małżonkowie bez wierności, synowie bez uszanowania, stadła bez świętości. Rodzina jest skalana, własność zagrożona. Spekulacye lichwiarskie występują w miejsce uczciwego handlu. Oszustwo, rabunek, bankructwa niemoralne są dzisiaj w modzie, samo nawet miłosierdzie chrześcijańskie zeszło z właściwej drogi, ale przystraja się w kształty światowe i obłudne. A posłuszeństwo? Słuchać to wstyd. Ktokolwiek ma władzę, jest tyranem i trzeba dążyć do jego obalenia. Każdy chce być panem siebie i rządzić się według siebie, ztąd anarchia i bunt, który wszystko chce obalić i wszystko zniszczyć. Ludy stworzone dla pomagania jedne drugim gryzą się wewnętrznie, rozdzielają się na partye, stronnictwa, które niszczą wszelki wyższy ideał, i ubezwładniają największe zdolności.

Brak charakteru jest również następstwem zepsucia obyczajów. Nikt nie myśli o drugich, ale jedynie o własnych korzyściach. Nie mamy już charakterów silnych, nie mamy ludzi szlachetnych, zdolnych do poświęcenia. Miękość i samolubstwo wszędzie. Wzamian za

odważnego rycerza, zapalającego się dla cnoty i walczącego za wiarę, wzamian za człowieka silnego, brzydzącego się kłamstwem i uciekającego przed każdą podłością — dzisiaj mamy spekulanta, bogacącego się krwią ludu, lub też wichrzyciela, który niszczy ojczyznę dla tryumfu swoich zachcianek. Interes stał się bóstwem obecnej chwili; człowiek przestał być użytecznym i sobie, i bliźniemu, i ojczyźnie, a wszystko to dla tego, że się upodlił i do umysłu swojego wprowadził zwątpienie.

Nie można się łudzić. Zbliżamy się do przesilenia, które będzie epoką w historyi. Chmury gromadzą się, burza się zbliża, a świat przerażony pyta: „Gdzie ocalenie?“

Przecież nie brakuje złota ani srebra, tej kotwicy zbawienia materyalistów. Przemysł kwitnie, handel rozszerza się; żaden inny wiek nie widział tak zadziwiających cudów jak nasz. A więc czegoż brakuje? Brakuje ludzi, brakuje charakterów.

Jaka tego przyczyna? Jest ich wiele, ale najważniejsze są: pożądliwość, nieznajomość przepisów religii, namiętności brutalne. A ponadto prasa bezbożna, polująca na skandale, naturalizm uwielbiający występek, zbytek niesłychany, niszczący rodziny, przyczyna główna niegodziwego wyzyskiwania robotników, których nie uważamy już za braci, ale za machiny do robienia majątków; a w końcu fotografie, litografie i tysiące innych reprodukcyi wy-

stępku, co wszystko wywołuje najniezdrowsze namiętności.

Lecz człowiek nie może zostać w tym stanie. Prowadząc takie życie nie może czuć się szczęśliwym, ponieważ nie odpowiada ono celowi, do którego został stworzonym. Człowiek zmysłowy, to nowy Tantal, który nie dosięga nigdy szczęśliwości, chociaż ciągle za nią goni. Staje on się ofiarą własnego zepsucia, i czuje rękę Boga ciążącą nad nim nieustannie. Bez radości, bez spokoju, jest jakby przeznaczony na zagładę, i wycieńczony duchowo i cieleśnie, często samobójstwem kończy smutne życie. A to co się dzieje w człowieku pojedyńczym, dzieje się w narodzie. Zwątpienia, niewiara, sofizmata nie uszczęśliwią nigdy tłumów. Upadek fizyczny idzie zawsze za moralnym, a wtedy ludy są bliskie zniknięcia ze sceny świata.

Przypatrzcie się przyczynom złego, i szukajcie na nie lekarstw. Niektórzy sądzą, że je posiadają i występują z niemi, ale przeważnie są to albo marzyciele, albo szarlateni.

Niektórzy chcąc wyleczyć społeczeństwo, stwarzają zupełnie nowe zasady i chcieliby obalić wszystkie dawne zwyczaje, które według nich są przestarzałe. Inni widzą zbawienie społeczeństwa w rozdziale dóbr, to znów w sekularyzacyi szkół, inni w wyzwoleniu małżeństwa z jego więzów, w wojnie z duchowieństwem, w odrzuceniu Chrześciań-

stwa, a nawet w wypędzaniu Chrystusa ze społeczeństwa.

O głupcy! Podczas kiedy nauka i umiejętność nie może nic wymyślić dla uzdrowienia społeczeństwa, oni przychodzą ze swojemi teoryami przewrotu, które jeżeli co zrobiły, to chyba to, że zło wzmogło się, a nędza powiększyła. Podejrzana moralność naszych nowoczesnych filozofów nie jest zdolna położyć tamy rozbudzonym gwałtownym namiętnościom, ażeby nie przekształcały się w nadużycia. Teorye abstrakcyjne nie odpowiadają żadnej potrzebie ludu. Ani gniewu się nie powstrzyma, ani woli uszlachetni takimi paliatywami. Obudzić nadzieję w jednych, a bojaźń w drugich, to jeszcze nie dosyć. Ale czyż będziecie mogli dać ludowi tę szczęśliwość, którą mu obiecujecie? Nie! tysiąc razy nie! A wtedy, jeżeli ten lud spostrzeże, że był tylko oszukiwany, wtedy się zbuntuje, i to właśnie przeciwko wam obróci całą swoją gwałtowność.

Czy użyjecie przeciwko niemu siły? On rozśmieje się tylko, pogardzi wami, i pójdzie swoją drogą. Nauczyliście go, że nie ma nic poza grobem i on, ów straszny logik naszych dni, zastosuje własne wasze doktryny i z nich wyprowadzi tylko jedno następstwo — dynamit.

Wszystkie środki, które tylko wskazuje ludzka mądrość, są tutaj bezskuteczne. Wszystkie wasze księgi nie potrafią naprawić jednego chciwca, ani jednego rozpustnika, jedne-

go gwałtownika. Złe drzewo nie wyda nigdy dobrych owoców.

A więc trzeba szukać innego środka, innego lekarstwa, które za pomocą Jezusa Chrystusa chcę wam podać, i proszę tylko o chwilę cierpliwości.

Jakże więc można ocalić społeczeństwo od zagłady, która mu zagraża? Jest na to tylko jeden środek, to jest zwrócić się do Chrześcijaństwa, które jedynie potrafi odnowić ducha, miłość, zwyczaje i charaktery. Kto zna Jezusa, ten zna pierwiastek i cel życia; nie doznaje już zwątpień, gdyż zna stałe zasady, którym podlega życie człowieka; nie błąka się już więcej od sofizmatu do sofizmatu, od systemu do systemu, ponieważ wie, że przedewszystkiem powinien kochać Boga i Jemu służyć, kochać bliźniego jak samego siebie, szanować honor rodziny, kochać ojczyznę i bronić jej, choćby kosztem własnego życia.

W ten sposób rozświecony rozum odnowi miłość, a do miłości wzniosłej i prawdziwej przyłączą się wszystkie inne cnoty. Niemi silni musimy się kierować ideą i wolą: ideą i myślą, która jest światłem przyciągającem nas i zapalającem i wolą, która z nieba czerpie siłę, ażeby dążyć do tego celu.

Tylko w Chrześcijaństwie znajdziemy uczucia wzniosłe, rozbudzenie cnót energicznych, bo tylko ono mówi nam o Bogu, w którym

mieszczą się wszystkie nasze nadzieje, który będzie nas kiedyś sądził, i wypowie nad nami ostateczny wyrok.

Gdy spokój wejdzie do naszego umysłu, miłość do naszego serca, wtedy ustaną walki, zazdrości, egoizm i fatalna kryzys naszego społeczeństwa; wtedy bogaty poda rękę ubogiemu, mocny wesprze słabego i ludy odetchną.

Narody starożytne jęcząc pod przemocą siły i występku poznały się na wartości Chrystyanizmu, który je odnowił w miłości i w prawdzie. Ludy nowożytne, jeżeli chcą być ocalone, muszą zwrócić się do tego samego źródła, gdyż wszystkie inne środki są niedostateczne. Przyjdzie ten dzień, w którym społeczeństwo zagrożone przez tysiące nieszczęść, będzie musiało we własnym swoim interesie powrócić do tego Chrystusa, którego dzisiaj odpycha, a którego wtedy wielkim głosem wzywać będzie, ażeby nas ratował i przyszedł na pomoc naszej ojczyźnie i naszym rodzinom.

Domine salva nos, perimus zagrzmi wtedy głos apostolski w świecie i świat ten zbawi! Jak żeglarz wiozący Cezara, wiózł na statku swoim całe szczęście cesarstwa, tak Chrystyanizm na swojej Piotrowej łodzi wiezie szczęście całego świata!

II.

Istnienie Boga.

Społeczeństwo naszych dni podlega największemu złemu i dziwnemu pomięszaniu pojęć, które tylko może być porównane do bolesnego stanu ciała, z wywichniętemi członkami. Zło to, które jest źródłem wszystkich innych, i które w końcu przemienia się w straszny chaos, zarówno w pojęciach, jak w miłości, w zwyczajach i w charakterach, pochodzi z przyćmienia prawdy, a szczególniej tej najważniejszej, że Bóg istnieje.

Materyaliści i pozytywiści przemyślają tylko nad tem, co mogliby podstawić na miejsce Boga, tej Istoty koniecznej, w której wszyscy poruszamy się i żyjemy, Boga Stworzyciela wszystkiego, co istnieje, Boga, Ideału doskonałości, mądrości i sprawiedliwości. Nie myślą ci zaślepieńcy, że wszystko ma podstawę w Bogu, miłość prawdy, piękna, dobra, świętość rodziny, cnota i szczęście ludów — i nie domyślają się, że bez Boga człowiek błąka się,

umysł wypacza się i wikła w zgubnych systematach.

I czemże stał się w naszych czasach dogmat o istności Boga? Dosyć zwrócić oczy w około siebie, ażeby mieć odpowiedź. Dzisiaj przedewszystkiem zaprzecza się istności Boga. Nauka wcale Go nie bada, a jeżeli czasem z konieczności musi stwierdzić ten dogmat, to przecież zawsze dodaje jakieś znaki zapytania. Literatura wcale się tem nie zajmuje, poeci bluźnią Mu, historya ulega przekręceniom, byle tylko wykreślić z dziejów imię Boga; ze szkół, ze szpitali, z domów wyrzuca się krzyż i chcianoby nawet wykreślić z pamięci, że niegdyś tam panował. Ateizm nowoczesny nie ma już wstydu, okazuje się w świetle słońca, wciska się wszędzie, przemawia z trybuny, z teatru, z prasy, ze szkoły, a nawet kala domowe ognisko. Oto niebezpieczeństwo naszej epoki.

Boga niema! Oto największe zaślepienie naszego wieku! Lecz to bluźnierstwo panuje tylko między bezbożnymi, nad którymi ciąży sprawiedliwość Boża.

Bóg istnieje!! Oto prawda, nad którą zastanowimy się cokolwiek. Boże mój! Natchnij mnie dzisiaj Ty sam słowami, ażebym mógł przelać w drugich wiarę moją tak żywą i udziel łaski, aby słowa moje mogły podbić serca tych, którzy mnie słuchają.

I dawniej wprawdzie spotkać można było ateuszów, ale wszyscy uciekali od nich, jako

od głosicieli bardzo zgubnych teoryi. Dzisiaj dopiero musimy być świadkami tego smutnego zjawiska, że bezbożność chce zawładnąć opinią publiczną, szczególniej zaś między młodymi. Ażeby przyciągnąć te niewyrobione jeszcze umysły, w których miłość własna jest zwykle tak silna, chcą ich przekonać, że ateizm jest doktryną dusz silnych, i nabytkiem prawdziwej umiejętności, chociaż w tej mierze nasi nowocześni bezbożnicy przytaczają argumenty tak słabe, że są to prawdziwie nędzne dzieciństwa.

Jeden z tych ateuszów zebrał te argumenta, zilustrował je, i rozrzucił między lud prosty, mając nadzieję, że go dla swoich teoryi pozyska. Lud jednak nie da się tak łatwo obałamucić, on wie i czuje, że jest Bóg, i swoim prostym, chłopskim rozumem pojmuje to dobrze, że ci tylko zaprzeczają istnieniu Pana Boga, którzy w tem korzyść mają właśnie, ażeby Boga nie było.

Ateusz ten powiedział: „Księża tylko każą wam wierzyć w istnienie Boga, oni tylko to wymyślili". Jakto? I jacyż to księża, jacyż to duchowni mogliby być, gdyby pierwej przed nimi nie była uznana i zatwierdzona istność Boga, którego oni dopiero stali się sługami. Jest to tak, jak gdyby ktoś powiedział, że synowie wymyślili ideę ojcostwa. Nikt nie wymyślił Boga; Boga czujemy i to powinno nam wystarczyć. „Czuję, że Bóg

istnieje, nie czuję, iżby nie istniał" — mówił i pisał La Bruyère".

Pojęcie o istności Boga jest wszczepione w naszą duszę i stanowi jej wewnętrzną naturę.

Ludzkość zawsze wierzyła w Boga: nie jest to wiara jednego ludu, ale wszystkich ludów.

Wiara w Boga stanowi charakterystykę ludzkości. Historycy, którzy zajmowali się jej dziejami, podróżnicy, którzy dotarli do najodleglejszych zakątków naszego globu, wszędzie znajdowali ową ideę Boga.

Mów pastuszkowi o nieskończoności, a nie zrozumie cię, mów mu o Bogu, a odpowie, że w niego wierzy. Ażeby nie wierzyć w Boga, trzeba się zdobyć na wysiłek, trzeba lekceważyć żyjących, u których ta wiara jest tak silnie zakorzenioną, i znieważać umarłych, którzy zamknęli oczy ze świętem imieniem Boga na ustach.

Lecz powiedzą mi może: „To nie prawdą, iżby wszyscy wierzyli w Boga" — ja jednak odpowiem na to, że w każdym razie ci, co nie wierzą, to tylko wyjątki, które zatwierdzają tylko regułę.

Tak jest! Powszechność tej wiary jest faktem niezaprzeczonym. I ani można powiedzieć, że jest to skutek przesądów, które musiałyby się zmieniać stosownie do czasu i miejsca; ani namiętności, które są równie zmienne; ani ciemnoty, ponieważ właśnie idea ta mieści

w sobie pierwiastki wszystkich prawd najwznioślejszych; ani zabobonu, który nie tylko nie obala, ale właśnie potwierdza tę potrzebę wiary w Boga.

A więc musimy uznać, że zaprzeczanie tegoż istnienia jest wprost przeciwne naturze człowieka. Doświadczenie i rozumowanie stwierdzają, że gdy tylko jakiś rodzaj powszechnie i ciągle zwraca się ku jakiemuś przedmiotowi, to koniecznością jest, by ten przedmiot istniał. Otóż ponieważ rodzaj ludzki zwraca się ciągle i powszechnie do Boga, a więc ten Bóg istnieć musi. Są dwa rodzaje ateuszów: nieświadomi i świadomi. Pierwsi nie wierzą ponieważ nie wiedzą, drudzy, ponieważ nie chcą, i ci przeważnie zasiadają na katedrach i nazywają się doktorami i profesorami ludzkości.

Piękny postęp zaiste! A więc po tylu studyach i po tylu wysiłkach kończą na postawieniu siebie na równi z dzikimi, a niech postąpią jeszcze krok naprzód a zrównają się z małpami.

Arystoteles powiedział: To co większość ma za prawdę, jest prawdą z natury rzeczy, a z Arystotelesem zgadzają się Cyceron, Seneka i św. Tomasz z Akwinu. Ateusze więc są poza prawami naturalnemi, tworzą wyjątek, ponieważ ateizm jest anomalią, którą potępia nawet sama natura?

Lecz ktoś mógłby mi może powiedzieć: „Jeżeli wiara w Boga ma być charaktery-

styczną cechą człowieka, to dla czegóż są ateusze?

Najprzód trzeba się zapytać, czy istnieją prawdziwi ateusze, w całem tego słowa znaczeniu. Co do mnie, to powątpiewam o tem. Gdyż zaiste te wszystkie wysiłki, które robią, ażeby przekonać, że Bóg nie istnieje, są już najlepszym dowodem, że oni sami czują nad sobą jakiś wpływ potęgi wyższej, z pod której nie mogą się uwolnić. Gdyby Bóg był tylko czczem słowem, skądże ta usilność, ażeby Go koniecznie usunąć i wymazać? Czyż można mieć za nieprzyjaciela tego, kto nie istnieje? A więc jest to właśnie dowód najpotężniejszy, że ten Bóg jest.

Drudzy powiadają znowu: „Jeżeli Bóg istnieje, to dla czego nie uczyni, by wszyscy z konieczności zwracali się ku dobremu?“

Ponieważ Bóg chce ażebyśmy do tego dobra dążyli własnowolnie i dla tego to obdarzył nas wolną wolą.

A więc jeżeli Bóg istnieje, to dla czego się nie pokaże?

Jeżeli wchodzisz do katedry Florenckiej, to czyż ta katedra nie mówi ci o swym architekcie; gdy czytasz Iliadę, czyż nie objawia ci się w niej nieśmiertelny jej twórca? Mojżesz Michała Anioła, czyż nie przypomina ci tego niezrównanego rzeźbiarza? Przemienienie czyż nie mówi ci o Rafaelu? a komunia św. Hieronima o Dominichinie? W ten sam

sposób cała przyroda mówi nam o Bogu, mówi, że Bóg istnieje.

Lecz to przyroda, a nie Bóg, który mi się ukazuje.

Są dwa sposoby okazania istnienia jakichś istot. Albo istnieją same przez się, albo za pomocą drugich. W pierwszym wypadku istnienie ich jest doskonałe, zasadnicze, w drugim udzielone i warunkowe. W pierwszym wypadku istniejące istoty nazywają się doskonałemi, mającemi istność w samych sobie, w drugim zaś — przypadkowemi i warunkowemi.

A teraz zastanówmy się, czy wszystkie istoty są tylko przypadkowemi i warunkowemi i czy przeciwnie z natury nie wypływa, ażeby była istota z bytem doskonałym, mającym źródło w samym sobie. W pierwszym przypadku istnienie całej natury byłoby absurdem — głupstwem, ponieważ wszystkie istoty wychodziłyby z zera, a zero może tylko stworzyć zero. Jeżeli wszystkie istoty są przypadkowemi, a więc musiały one koniecznie istność tę otrzymać od kogoś, który taką przypadkową istnością nie jest, czyli — od Boga.

Lecz powie mi tu może ateusz: „Taką istnością jest materya, która jest wieczna“. Jeżeli tutaj szukacie dowodów, to ja wam odpowiem, że jest to twierdzenie, które wcale udowodnione nie jest. Ładny mi tam dowód zaiste, który ma przeciwko sobie dwa niepodobieństwa: niepodobieństwo matematyczne i niepodobieństwo metafizyczne!

Niepodobieństwo matematyczne, ponieważ to co jest wiecznem, musi pozostawać stałem i nie zmieniać się, tymczasem materya zmienia się ciągle i każe przypuszczać, że przeszła przez nieskończony łańcuch przemian.

Niepodobieństwo metafizyczne leży w tem, iż chcąc ażeby materya nie była przypadkową, musielibyśmy przypuścić, iż posiada wszystkie właściwości istoty duchowej i do tego najdoskonalszej, a przecież i doświadczenie i rozum powiada, że właściwości te wcale się nie zgadzają z naturą materyi.

Od samego początku ludzkość postawiła sobie trzy pytania: Kto jestem? Skąd przychodzę? Dokąd idę?

Na pierwsze i na ostatnie pytanie odpowiedziała sobie, na drugie — nie. Ludzkość jest wielka i nie kończy się, ale w jaki sposób rozpoczęła się? Przypuszczać, że materya bez inteligencyi i rozumu potrafiła wydać z siebie to lub tamto, jest to przypuścić skutek, któryby o całe niebo przewyższył przyczynę, czyli: skutek bez przyczyny.

I dla tego jakże śmieszne jest twierdzenie ateusza, który przypisuje materyi jakąś nieznaną, tajemniczą siłę, która stworzyła światy, i tym sposobem daje materyi własność duchową. Oto głupstwo — następstwo innych głupstw!

„Trudne jest do pojęcia, że Bóg nie istnieje; że istnieje, jest także trudne do pojęcia, ale przynajmniej nie jest głupie“ — powiedział Pa-

scal. Jeżeli przypatrzymy się ruchowi, który w około nas się porusza, to mimowoli ciśnie się na usta pytanie, kto wprowadził materyę w taki ruch?

W całej naturze nie istnieje nic bezczynnego. Począwszy od gwiazd, wirujących w przestworach niebieskich, aż do kryształu formującego się we wnętrznościach ziemi, od motyla unoszącego się z kwiatka na kwiatek, aż do orła szybującego w przestrzeni, od robaka, aż do ducha ludzkiego, wszystko jest w ruchu. I skądże pochodzi ten ruch? Czy został udzielony, czy też stanowi właściwą istotę materyi? W tem ostatniem przypuszczeniu jesteśmy w sprzeczności z fizyką i matematyką, ponieważ ten ruch może być albo zwolniony, albo przyspieszony. Kierunek i szybkość są elementami zasadniczymi ruchu, trzebaby więc przypuścić ciągle tę samą szybkość i ten sam kierunek, a tymczasem świat, przechodząc przez różne fazy, przeszedł tem samem przez rozmaitość ruchów. Nie pozostaje nam więc jak tylko pierwsza hypoteza, że musi być stały jakiś motor, który wszystko w ruch wprawia, jak powiedział Boecyusz.

Porządek panujący w świecie, który kieruje wszystkiemi ciałami niebieskiemi, nie jest zależny od człowieka. Czyż można istnienie tego ładu zaprzeczyć? Czyż można nazwać go przypadkiem? Któż może wierzyć w przypadek, który przeciwi się przyczynowości? Sam rozum odpycha myśl o porządku bez przy-

czyny. Czyż może się to stać prawami naturalnemi? A czemże są te prawa? Wszakże one są tylko objawami rozumu, a nie rozumem samym. Są to struny, które każą się domyślać instrumentu.

Jak jest konieczna okrągłość ziemi wirującej około słońca, ażebyśmy sobie mogli wytłomaczyć zmianę i następowanie po sobie dni i nocy, tak samo jest konieczna idea Boga, ażebyśmy sobie mogli wytłomaczyć doskonałość i porządek we wszystkiem.

Porządek ten przedstawia się dwojako: raz jako szereg praw, powtóre jako szereg środków prowadzących do celu.

Wszechświat jeśli ma być dorzeczny, musi być dziełem myśli, z której wypływa szereg praw, jako element rozumny i środków, jako element opatrznościowy.

Pozytywizm zaprzecza tej celowości; dla niego ptak unoszący się w przestrzeni niema skrzydeł do latania, lecz lata dla tego, ponieważ ma skrzydła. I jedno i drugie twierdzenie jest warunkowo prawdziwem. Ptak lata rzeczywiście dla tego, ponieważ ma skrzydła, ale właśnie dla tego ma skrzydła, ażeby mógł latać. Tutaj przyczyna wyprzedza koniecznie fakt zamiarem i celowością. Przypatrzcie się naturze całej. Lilia rozkwitująca na wiosnę, jajko dojrzewające i wszystkie zjawiska, które z tem się łączą, czyż nie objawiają najwyższego rozumu, który wszystko prowadzi do swojego celu. Uczony i filozof nie mogą od-

sunąć Boga. Bez Niego wszystkie ich księgi zbutwieją, a majestat Boski będzie tem wspanialej tryumfował. Zbliżcie się do najwyższej ze wszystkich nauk, to jest do filozofii umiejętnej, a przekonacie się, o ateusze, że w niej są tylko stopnie, które prowadzą przed ołtarz Boga.

Nauka nowoczesna chce wszystko wykrzywić i zburzyć, a przecież wszystkie jej analizy czegoż dowiodły przeciwko istności Boga? „Tu jest ktoś", powiedział przeciwnie jeden sławny uczony, anatomizując martwą naturę, i z analizy naukowej wyszedł tylko dowód tem jaśniejszy, że Bóg istnieje.

Śpiewaj więc z wiarą, o duszo moja, ten pierwszy artykuł naszego Składu Apostolskiego „Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego", wołaj z Newtonem: „Wierzę w istność Boga"; z Linneuszem: „Widziałem Boga, który tu przeszedł"; a z Galenem zaintonuj hymn na cześć Jego.

Szukajmy Boga w historyi i w naturze, szukajmy Go w sobie samych, jak powiedział Descartes, i badajmy własne nasze wnętrze. Wszyscy, nawet ateusz, nosimy w sobie ideę i miłość nieskończoności. I skądże pochodzi ta idea? Czyliż ona została wszczepiona w naszą duszę, jak złoto jest ukryte we wnętrznościach ziemi, a w takim razie czyjaż ręka ją tam włożyła? Fenelon odpowiedział za nas: „Pochodzi ona od Boga".

Miłość nieskończoności, która nam obiecuje wieczność, czemże jest?

Człowiek jest stworzony dla nieskończoności, serce czeka na nią i wie, że nie będzie zawiedzione. Jeżeli rozum mówi: „Myślę, a więc jestem", wtedy serce może zawołać „Panie, ja kocham Ciebie, a więc Ty istniejesz!"

Drugim cudem jest nasze sumienie, ten głos tajemniczy, który nam daje ideę dobrego i złego; żaden człowiek nie może przed nim uciec. I któż to zaprowadził ów tajemniczy trybunał? O, pewnie nie człowiek, nie rodzina, nie społeczeństwo, ponieważ one są bardzo często w sprzeczności z tym trybunałem, a więc musi on pochodzić od kogoś wyższego — od Boga.

Po za Bogiem napróżno szukamy prawa moralnego; abstrakcyjna idea obowiązku nie wystarcza, a przeczucie szczęścia nie da się wytłomaczyć bez Boga. Bez Boga wszystko jest głupstwem i niepodobieństwem, ponieważ Bóg jest pierwiastkiem prawa i obowiązku, ponieważ ten Bóg prowadzi nas wszędzie i nie możemy przed Nim uciec, ani w historyi, ani w świecie, ani w umiejętności, a tem mniej we własnem naszem sercu.

Ktokolwiek powiada, że w Boga nie wierzy, szczery nie jest, i sądzę, że ludzie ci przy śmiertelnem łożu kogoś ze swych drogich odzyskają wiarę i uniżą się przed Bogiem.

Mam nadzieję, że przynajmniej przy końcu własnego swego życia uwierzą w Boga, wyznają Go i wielbią. Oto jest nadzieja, która mnie pociesza i sądzę, że za pomocą modlitw i moich i waszych, nadzieja ta się ziści.

III.

Kto jest Bóg?

Bóg istnieje; oto prawda, która narzuca się rozumowi, nawet po za zakresem wiary; prawda, która się objawia porządkiem i harmonią we wszechświecie; prawda, która błyszczy w historyi ludów i której wyjaśnieniem zajmowali się Seneka, Cyceron, Arystoteles i wszystkie najwznioślejsze umysły starożytności. Czasem jakiś głos pojedynczy, który tylko jest głosem dysharmonijnym w powszechnej harmonii, dawał się słyszeć wśród pochodu wieków, twierdząc, że Boga niema, że jedynie materya wytwarza prawa powszechne. A głosy takie przebrzmiały bez echa i przeciwko nim zbuntowało się sumienie ludów. Kto mówi, że Boga niema, ten powstaje przeciwko wszystkim i na wszystkich i chce utrzymywać, że wszyscy są w błędzie. „Ten, który ma odwagę zaprzeczać działaniu Bóstwa we wszechświecie jest szaleńcem“, powiedział Arystoteles, a filozof francuski dodał: „Trzeba być maniakiem, ażeby mieć odwagę być bezbożnikiem“.

Ale kto jest ten Bóg? Czem jest Bóg? Oto pytanie, które zajmowało św. Tomasza i inne najwznioślejsze umysły. Pytanie to zadaje sobie także każda dusza ludzka i niecierpliwie oczekuje odpowiedzi. Kto jest Bóg? Na pytanie to są dwie odpowiedzi, wprost sobie przeciwne: odpowiedź filozofii ateistycznej i odpowiedź religii. Filozofia, gdy jest bezpodstawna, daje odpowiedź fałszywą, przeciwnie religia niesie odpowiedź i przekonywującą i pocieszającą.

W początkach człowiek wyprowadzał wszelką filozofię z nauki o Bogu; był to wiek złoty, wiek błyszczący jasnością niebiańską. Lecz światło to wkrótce przyćmiły chmury ciemności i ludzkość obałamucona stała się niewolnikiem jedynie własnego mędrkowania i wytworzyła filozofię, która zdołała zaledwie zachować małe ziarenko pierwotnej prawdy, zagłuszonej tysiącami fałszywych systematów, i chcąc sobie wytworzyć pojęcie o Istności najwyższej, a nie chcąc przyjąć objawienia, przyjęła przeznaczenie i postawiła je na miejscu Boga.

Później czując, że świat potrzebuje koniecznie Istności najwyższej, wyprowadziła politeizm i schlebiała wszelkiemu rodzajowi bałwochwalstwa.

W ten sposób prawdę zakryły grube chmury fałszu: człowiek staje się niewolnikiem i wszystko skierowane jest tylko do zaspokojenia zmysłów. W ten sposób ludzkość

rzuca się w przepaść pogaństwa. W jej oczach świat jest tylko materyą, a porządek we wszechświecie jest tylko wynikiem ślepych sił natury; jako przedmiot czci stawia się na ołtarzach los. Oto jest filozofia Wschodu. Punktem wyjścia jest zawsze jakaś szczypta objawienia, ale ono wkrótce ginie w dualizmie, metampsychozie i w panteizmie.

W Grecyi, stosownie do formy platonizmu, stacza się ona do sceptycyzmu, który staje się ogniskiem wszystkich błędów i wytwarza zamięszanie, przygniatające prawdę, tę niezbędną potrzebę życia. Do walki z taką filozofią występuje filozofia Aleksandryjska, która w początkach przedstawia się jako reakcya przeciwko sceptycyzmowi. Lecz pojawia się ona w chwili, w której Chrystyanizm utrwala się w świecie; córka idei pogańskiej zostaje pogańską, do jednych błędów dodaje drugie i walczy z Chrystusem i Kościołem nie bronią nauki i umiejętności, ale bronią złośliwych podejrzeń i zuchwałych potwarzy. Konając gubi się w hypotezach i wpada w błędy panteizmu i fetyszyzmu. A teraz zapytajmy, co nam daje nowoczesna filozofia? Nic innego, jak tylko powtórzenie starej szkoły i powtórzenie błędów dawniejszych czasów. Nowoczesna filozofia stawia przedewszystkiem racyonalizm, widząc w nim postęp i szczęśliwość ludzkości, a tymczasem daje nam tylko chaos; w Bogu widzi tylko czcze słowo, które stara się wykreślić.

Czyż nie takie są teorye, które wygłasza wiele przeglądów, wiele książek i wiele dzienników? Dostają się one do rąk drogich wam osób i doznają aż nazbyt łatwowiernego przyjęcia u waszego domowego ogniska? Czyż to nie są teorye, które wam wygłaszają niektórzy profesorowie, a biedna ojczyzna musi ich jeszcze za to opłacać własnemi pieniędzmi. Dowodzą oni, że to nie Bóg stworzył ludzi, że ten Bóg jest tylko marzeniem i mrzonką i prowadzą człowieka do uwielbienia samego siebie.

Oto jest odpowiedź, którą filozofia daje nam na pytanie: „Kto jest Bóg?“ Oto jak po XIX wiekach Chrystyanizmu ona wypacza ten dogmat, a nawet usuwa go zupełnie.

A teraz zapytajmy się, co nam mówi religia? Gdy ona mówi o Bogu, jest zawsze wzniosła i rozlewa dokoła siebie błyszczące światło, które olśniewa i wprawia w zachwyt najwyższe umysły, a jest zarazem dostępne dla duszy dziecięcia, z którem z całą prostotą rozmawia przez usta matki.

Na pytanie, kto jest Bóg, religia odpowiada nam jasno, szczytnie, a jednak z taką prostotą i to zarówno w katechizmie jak w Składzie Apostolskim, lub też w Biblii. Weźmy katechizm. — Chodź tu mała, niewinna dziecino, chodź do nas i powiedz mi, czegoś się nauczyła na kolanach od swojej mamy; powiedz mi kto jest Bóg? I dziecię nie zawaha się, nie zakłopocze i z uśmiechem odpowie: „Bóg jest

duchem najdoskonalszym, najczystszym, który stworzył niebo i ziemię i jest panem i władzcą wszystkich rzeczy". Co za wzniosła odpowiedź, jaka głęboka filozofia!

Słyszycie panowie! Bóg więc jest czystym duchem — i tym sposobem upada ów niesmaczny błąd panteizmu, który miesza Boga z wszelkiem stworzeniem. Bóg jest najdoskonalszy, i oto potępienie tego potwornego błędu, że Bóg jest złem. Bóg stworzył niebo i ziemię i oto pokonany pozytywizm, który chce uważać wszechświat jako ciągłą ewolucyę. Bóg jest panem wszystkich rzeczy — i oto dowód, że wszystko w świecie zależy od Boga, że ludzie są jego sługami, że On ciągle ma ich przed swoim wzrokiem, ażeby ich wynagradzać, albo też karać, stósownie do ich uczynków.

To pojęcie Boga tak proste i jasne, jest zrozumiałe dla słabego umysłu dziecka i staje się jego drogą ojcowizną, staje się światłem jego rozumu, pociechą jego serca. Ono rozumie, że Bóg jest jego ojcem i opiekunem, że czuwa nad niem; w ten sposób dziecko rośnie w prawdzie i w cnocie, jest dobrym synem, użytecznym i dla rodziny i dla ojczyzny.

Oto jest odpowiedź katechizmu, a teraz posłuchajcie, co nam mówi Skład Apostolski, który jest prawdziwem wyznaniem wiary i daje nam również odpowiedź w słowach jasnych, zrozumiałych, niezaprzeczalnych. —

I znów z ust dziecięcia posłyszemy to nowe zatwierdzenie prawdy. Chodź tu dziecię, podnieś wzrok do nieba i mów te słowa Składu Apostolskiego: „Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi". Oto w tych kilku słowach odpowiedź na niewiarę filozofii. Kościół w tych kilku słowach zamknął całą zasadniczą istotę Boga, którą jest jedność, — właściwość Boga, którą jest wszechpotęga i działanie Boga, którem jest stworzenie nieba i ziemi.

To pojęcie Boga dane było Hebrejczykom przez Mojżesza. Otwórzcie starą księgę Biblii, a już zaraz na pierwszej stronnicy znajdziecie „*In principio Deus creavit coelum et terram*".

Ale zostawmy już katechizm i Skład Apostolski i wznosząc się coraz wyżej, zapytajmy się Boga samego kim On jest. I słuchajcie, oto nam odpowiada „*Ego sum qui sum*" — ja jestem, który jestem.

Jakże wzniosłe jest to określenie, jakże napełnia umysł światłem i podziwem.

Pierwiastek wszech rzeczy Talesa, piękność Platona, wielkie Wszystko Pitagorasa, jakże one maleją wobec tego słowa „*Ja jestem*".

O tak, Boże mój! Ty jesteś! I to nie w taki sposób, jak pokolenia ludzkie, które się pojawiają i giną, nie jak głębia niebios, albo nawet jak hierarchie aniołów, ale jesteś sam przez się; jesteś Istnością zasadniczą, pier-

wiastkiem wszelkiego istnienia, Stworzycielem wszystkich rzeczy, początkiem każdej doskonałości.

Zastanówmy się bliżej nad tem twierdzeniem. Bóg nie jest samem pojęciem, ale jest to rzeczywistość żyjąca, co łączy w sobie wszystkie doskonałości, których słaby odblask podziwiamy w stworzeniach. Jeżeli więc osobowość odznacza szczególniej te istoty stworzone, któż śmiałby przypuścić, iżby Stwórca miał być jej pozbawiony. A więc osobowość jest i musi być pierwszym przymiotem Boga.

W Bogu jest dalej wszechmocność. Dla Niego wszystko jest możliwe; jest On niezależny od nikogo, jest Panem nad panami, Królem nad królami, ma potęgę nieskończoną, niewypowiedzianą, i nic Mu się oprzeć nie może. Jedno skinienie wystarcza, a światy powstają z nicości, gwiazdy zapalają się i poruszają, morze burzy się, i życie powstaje wszędzie w drżeniu przyrody.

W Bogu jest nieograniczoność. Jest On przytomny wszędzie, właśnie dla tego, że jest nieskończony. On jest prawdą, mądrością nieograniczoną ani w czasie ani przestrzeni i wszyscy w Nim poruszamy się i jesteśmy.

W Bogu jest umiejętność. On ją posiada w całej pełni swojej mądrości. On jest widzącym, jak mówią księgi święte, który nie może ani nic nabyć, ani nic utracić,

który wszystko wie, o niczem nie wątpi i dla którego przeszłość, teraźniejszość i przyszłość są tylko jednem ogniskiem, z którego wypływa wszystko, co było stworzone. W Bogu jest sprawiedliwość; jest On rozdawcą najsprawiedliwszym swoich łask, daje dobrym nagrodę a złych karze.

W Bogu jest świętość, przez którą kocha swoje stworzenia; święte są Jego dary, nienawidzi zaś złego i grzechu.

W Bogu jest piękność. Wszystko cokolwiek stworzenia mają pięknego, harmonia nieba i ziemi, wszystko od Niego pochodzi. Ta to piękność Boska natchnęła Rafaela i stworzyła jego urocze postaci. W tej piękności czerpali swoje melodye Mozart i Rossini. Z pięknością tą nie można porównać ani niezmierzoności morza, ani ciszy gwiaździstego nieba. Plato śnił o takiej piękności i mówił o niej z zachwytem; Augustyn św. zaś uskarżał się, że ją poznał zbyt późno.

W Bogu jest dobroć i miłosierdzie. Bóg jest dobry sam przez się. Obsypuje dobrodziejstwami swoje stworzenia i pragnie rozdzielać swe dary. W tem miejscu brak mi słów, moi słuchacze, ażebym mógł objawić wszystkie tajemnice Jego miłości i Jego miłosierdzia. W Bogu wreszcie są wszystkie doskonałości możliwe, a wszystkie bezgraniczne i nieskończone.

Ażeby streścić wszystkie przymioty Boskie, przypominam sobie, co w tej mierze

powiedział św. Bonawentura i św. Augustyn. Bóg nie da się pojąć, a sam pojmuje wszystko, jest niewidzialnym, a widzi wszystko, jest nieogarniony, a sam przenika wszystko i posiada wszystko. Nie nabywa nic i niczego nie utraca. Mówię wam mało, ale mówię prawdę i mówię to, co jest. Bóg jest wielki, niepojęty, dobry; we wszystkich wiekach, we wszystkich dziełach, we wszystkich rzeczach — On jest.

Gdybyśmy zgromadzili wszelkie doskonałości hierarchii niebieskich, wszystkie wysiłki energii ludzkiej, wszystko to byłoby niczem w porównaniu do dobroci, wielkości, potęgi, sprawiedliwości, miłosierdzia, miłości, światła, prawdy i wieczności Boga. Mówię wam mało, ale mówię prawdę i mówię to, co jest. Wszystkie energie w świecie fizycznym i w świecie duchowym, wynik wszystkich rozumów, mądrość wszystkich mędrców, geniusz wszystkich artystów i wszystkie cnoty i wszystkie porywy serc szlachetnych, i wszystkie doskonałości, które tylko wymarzyć można, są zaledwie ziarnkiem pyłu w porównaniu z Bogiem.

Trzeba więc zakonkludować z Platonem i Fenelonem, trzeba powiedzieć: On jest! To jedyne słowo, które tutaj powiedzieć można, jakże bowiem niedołężnemi i skończonemi słowami wyrazić właściwości Jego nieskończone?

Oto jest Bóg, jakim Go wyznaje nasza religia. Gdy przez nią poznamy Boga, światłość powstaje, chaos w pojęciach ustępuje.

rozum nasz ma punkt wyjścia, ma cel, ma przed sobą pewną drogę i już się nie błąka. Religia staje się piękną i konieczną do połączenia człowieka z Bogiem. Społeczność polityczna i cywilna przedstawia się jako następstwo porządku nadprzyrodzonego. Panujący umieją uszanować wolność i prawa poddanych, a ci znów szanują władzę i jej prawa jako pochodzące od Boga. W ten sposób wszystko się harmonizuje i wiąże ku dobru ludzkości. Historya badając i opisując wypadki, widzi we wszystkiem działanie opatrznościowe Boga, a ludzie oświeceni tem światłem uczą się rozpoznawać z biegu wielkich wypadków wolę Boga, który wszystko prowadzi do odnowienia ludzkości drogami wiadomemi Jemu samemu.

Dla poezyi i dla sztuk pięknych otwiera się obszerne pole; wymowa duszy zapala się i stworzenie, które bez Boga jest trupem, z Bogiem ożywia się, kwitnie i weseli.

Muzyka natchniona w Bogu staje się niebiańskiem wyrażeniem najdroższych wspomnień duszy naszej. Malarstwo do życia się budzi, architektura zaś wznosi zdumiewające budowle. Nawet przemysł śpiewa chwałę Boga, ponieważ ma za swoje narzędzie tę materyę, która jest dziełem rąk Jego.

Z Bogiem wszystko na świecie podnosi się i uszlachetnia, a bez Boga czemże byłby świat? Zobaczycie to niestety może niezadługo, moi słuchacze.

Bez Boga wszystko przyćmiewa się i za-

miera. Historya, nauka, człowiek, naród, świat czemże się stają? Historya nie jest niczem więcej jak tylko szeregiem wydarzeń bez rozumu, któryby to wszystko usprawiedliwiał, bez przyczyny, bez celu; jednem słowem: chaos niesłychany. Nauka, jeżeli chce pracować bez Boga, jeżeli odrzuci Objawienie, wpada zaraz w sceptycyzm. Nie lekceważę ja bynajmniej prac i wysiłków ludzi uczonych, ale bez Objawienia do czegoż oni dochodzą? Opisują fakta i zjawiska zewnętrzne w sposób znakomity, ale co się tyczy ich pochodzenia, co się tyczy praw, które niemi rządzą, nie wiedzą nic.

Z powszechnej harmonii robią mozajkę prześliczną, jeżeli chcecie, ale bez jedności i ztąd wytwarza się tyle przeciwieństw.

Człowiek bez Boga czemże jest? Nie wie ani zkąd przychodzi, ani dokąd idzie? Nie wie, jakie jest jego przeznaczenie, jaka przyszłość; błąka się wśród ciemności, rozbija o skały życia zniechęcony i zrozpaczony. A kiedy nieszczęście przygniecie go, to cóż robi? Albo w rozpaczy targa się na własne życie, albo też upada pod brzemieniem bez pociechy. Przy śmiertelnem łożu ojca, matki, dziecka, gdzież się zwróci o pomoc i siłę? O, zaiste smutny jest los człowieka, który nie wierzy: żyć bez podpory, umierać bez nadziei. Po za grobem widzieć tylko wielkie nic, nie wierzyć w najwyższego Sędziego, który odróżnia dobre od złego, który wynagradza albo karze; przy-

puszczać, że cnota i występek, zbrodnia i ofiara będą miały jednakowy koniec — jest to całą organizacyę społeczną pchać do przepaści i chcieć, żeby wszystko w gruzy się obróciło. Naród bez Boga czemże jest? Gdyby negacya Boga była powszechną, wtedy zamiast porządku i harmonii w świecie, byłoby piekło. W cóż obróciłyby się zasady jedności, braterstwa, władzy? Bez Boga nie ma jedności, i gdy tylko usuniemy Go ze społeczeństwa, natychmiast miłość bliźniego zamiera i ludzie najprzód rzucają się pojedynczo jeden na drugiego, a w końcu musiałoby przyjść do wojny społecznej i bratobójczej. Zamiast spokojnego rozdziału dóbr, gwałtowne zabory i dzikie chciwości, tragedya ciągła, wielka, ponura, przestraszająca. Wolność i równość bez Boga są niepodobieństwem. Oto jest wolność — powiedzą wam, gdy was okują w kajdany; oto jest braterstwo — zawołają, kiedy wam wbiją nóż w serce; oto jest równość — rzekną ze szyderstwem na ustach, gdy wszystkich doprowadzą do zezwierzęcenia i podłości!

Zamiast widnokręgu spokojnego, jasnego, mielibyśmy ciemny, pokryty chmurami groźnemi, i niebo z bronzu, któreby nas przygniatało ciężarem nieuniknionego przeznaczenia.

IV.

Dusza w umiejętności i w sztukach pięknych.

Ani w materyi, ani w niczem, co od niej pochodzi, nie można szukać wytłomaczenia niektórych zdolności umysłowych i moralnych, które człowiek posiada. Nie myślimy wdawać się w długie wywody z materyalistami, co wszystko to chcą przypisać stronie zwierzęcej człowieka, gdyż nawet i poważna umiejętność przypuszczenia takie za niewłaściwe i śmieszne ogłosiła. I rzeczywiście, gdybyśmy dawać mieli wiarę materyalistom, to człowiek musiałby mieć za antenata orangutanga, który powoli i stopniowo pozbywając się swojej dzikiej powłoki, potrafiłby uszlachetnić swoje rysy, rozwinąć swoją przypłaszczoną czaszkę i potrafiłby stać się wzniosłym, zapalając w swem sercu płomień szlachetnej miłości, wolności i innych cnót.

Oto jest, moi słuchacze, przypuszczenie materyalistów co do początków człowieka.

Przypuszczenie to nie może zadowolić

ani nauki, ani umysłu, a tem mniej serca naszego. Ponieważ jednak materyalista pod pozorami nauki bałamuci młodzież, wziąłem sobie za zadanie okazać wam, że materyalizm wykracza i przeciw umiejętności i przeciwko sztukom pięknym i przeciwko cnocie.

Dusza-to ludzka stworzyła umiejętność i przez nią panuje nad materyą; stworzyła sztuki piękne, które tę materyę przeistaczają, i stworzyła cnotę, każąc przez nią pokonywać wszystkie przeszkody, które jej stawia ta sama materya — i święcić nad nią tryumfy.

Oto moje dzisiejsze zadanie. Jest ono trochę trudne, ale mam nadzieję, że przy pomocy Boskiej może będę mógł zadowolić was choć w części, moi słuchacze.

Badając dusze swoje, cóż w nich widzicie? Oto trzy instynkty czyli popędy: instynkt prawdy, dobra i piękna. Instynkty te zamienione w czyn wytwarzają umiejętność, cnotę, sztukę. I to właśnie okazuje, że dusza nasza musi być duchową.

Materyaliści powiadają: „Nie mamy żadnej duszy i uznajemy tylko świat fizyczny". Jeżeli mówią szczerze, to się oszukują sami.

Czytamy w historyi, że pewien rzeźbiarz ociemniały, dotykając się rękoma posągu, potrafił odtworzyć jego linie w marmurze i stworzył dzieło wcale niepośledniej wartości; gdyby jednak ów ciemny zamiast dłuta użył był pendzla, cóżby się było stało?

Gdybyśmy takiego ciemnego postawili przed obrazem i żądali od niego, ażeby ten obraz ocenił, czyż nie powiedzielibyście sami, że to szaleństwo?

Otóż takie samo szaleństwo popełniają materyaliści, którzy posługują się nauką dla udowodnienia, że dusza nie istnieje, ponieważ cała ich nauka zasadza się jedynie na poznaniu świata materyalnego, dotykalnego.

Materyalista swoją wiedzą widzi, maca, rozbiera wszystko to, co jest materyą, ale wobec tego, co niecielesne, duchowe, jednem słowem, co tylko nie jest materyą, jest on z całą swoją nauką jak ślepy od urodzenia.

I czyż to nie jest śmieszne, używać noża, mikroskopu, miary, wagi, pierwiastków chemicznych i t. d. dla szukania duszy. I jak to dobrze, że jej nie znajdują, gdyż w takim razie my w taką duszę, przez nich wynalezioną, wierzyćbyśmy przestali.

Umiejętność prawdziwa może być tylko dziełem duszy i przez nią dusza panuje nad materyą. Umiejętność każda prowadzi do uogólnienia, do o g ó l n o ś c i; szuka ona w rzeczach żywota trwałego typu, któryby był połączeniem wszystkich otaczających go osobników i stanowił absolutny pierwowzór w swoim rodzaju.

I dla tego nie ma umiejętności bez tych dwóch warunków: c z ą s t k o w o ś c i — który jest w przyrodzie, i ogólności, c a ł o ś c i, który może być tylko dziełem duszy.

Jest rzeczą dowiedzioną, że cząstkowość jest zawsze niestała, zmienna, i nie można nawet znaleść dwóch przedmiotów zupełnie do siebie podobnych pod wszelakim względem. Umiejętność więc w samej cząstkowości nie może istnieć, gdyż jest pozbawiona najważniejszego i najpotrzebniejszego warunku: stałości.

Niema umiejętności w cząstkowości — powiedział Arystoteles, a z nim Platon i Scholastycy.

Umiejętność dąży do czegoś nienaruszalnego, jednem słowem dąży do całości.

Gdyby tedy idee były materyalne, dałyby się wyrazić figurami materyalnemi, ponieważ zaś nie można tego uczynić, jestto najlepszym dowodem, że są one natury duchowej.

Materyalista błądzi pod dwojakim względem: po pierwsze, że wierzy tylko w doświadczenie, a powtóre, że wyprowadza wnioski o prawach ogólnych, z praw cząstkowych.

I dla tego to często staje on się śmiesznym, nie chcąc uznać, że każda umiejętność musi mieć podstawę duchową, i nawet same nauki przyrodnicze są wyższe nad materyą; gdyż jak powiedziałem, dusza docieka wszędzie praw ogólnych, panujących nad materyą i nad wszystkiemi rzeczami stworzonemi.

Człowiek co do ciała składa się z atomów, lecz przez duszę jest panem stworzenia.

A teraz przejdźmy do innego dowodu, to jest do sztuki.

I czemże jest sztuka? Na czem zasadza się jej istota? Istota sztuki polega na tem, ażeby myśl przyoblec w szatę materyalną. Zadaniem sztuki jest przedstawić piękno w najwspanialszy sposób.

I w jakiż to sposób geniusz artysty może przedstawić to piękno. „Piękno, powiedział Plato — jest blaskiem prawdy". Ta prawda zatem powinna być odziana w takie kształty, aby nietylko objawiała się rozumowi, ale zarazem poruszała serce, wprowadzając do piersi człowieka owo tajemnicze drżenie, któreby go trzymało w niemym zachwycie przed objawami piękna.

Taki jest ogólny pierwiastek piękna i prawdy, a zarazem pierwiastek porządku i harmonii powszechnej.

Wznosząc się od materyi do idei duchowej spotkamy się z owym przedwiecznym pierwowzorem, którego wprawdzie naszem ziemskiem okiem widzieć nie możemy, ale którego szuka dusza nasza i przeczuwa go wśród swoich zachwytów i swoich porywów; ideał zaś ten czerpie swoje istnienie z istnienia samego Boga.

„Ideał? — powiedzą tutaj materyaliści — dla czego mieszacie mrzonkę z rzeczywistością?"

Nie! ideał nie jest mrzonką! tysiąc razy nie! — Badajcie własną swą duszę, czyliż ona nie ma wrodzonego popędu do pojmowania i wyrażania ideału?

Przypatrzcie się rzeczy choćby najpiękniejszej i najwspanialszej; czyż nie czujecie możliwości wyobrażenia sobie czegoś jeszcze piękniejszego i wspanialszego. Czyliż w ten sposób nie da wam ona możności, wznoszenia się na wyżyny niedoścignięte i nieokreślone?

Popęd prawdziwego geniuszu, to potęga twórcza, która jaśnieje w natchnieniu poezyi. w harmonii muzyki, w doskonałościach wszystkich sztuk pięknych.

Nie można nazwać prawdziwym artystą tego, który nie stara się podnieść ideału ponad materyę, znajdując coraz to nowe i oryginalne sposoby do jego wyrażenia. Już sama istota geniuszu domaga się, ażeby się koniecznie wznosił do coraz wyższych sfer ideału. Krytyka analizuje i sądzi, ale w duszy geniusza odbywa się czucie i tworzenie.

Oto ideał będący prawem każdej sztuki pięknej.

Każdy zaś artysta natchniony, musi się wznieść od tych rzeczy przyrodzonych aż do zawrotnych wysokości, wchodzić z wyżyny na wyżynę, z jednego nieba do drugiego, od światłości do światłości, i musi się starać nietylko podziwiać, ale uchwycić i oddać choćby jeden promyczek, choćby słaby cień tej piękności, która go zachwyciła. I wtedy-to natchniony, drżący, chwyta się tej materyi, która ma zostać jego służebnicą.

Materya ta buntuje się, opiera, lecz artysta nie traci zapału, obrabia ją, wykuwa, ożywia

płótno pod pędzlem, a marmurowi każe drżeć pod dłutem. I oto patrzcie, na płótno występuje Przemienienie Rafaela, a z martwej bryły marmuru wychodzi wspaniały Mojżesz Michała Anioła.

Oto — słuchacze moi — życie, piękność, ogień, tworzenie!

W ten sposób człowiek naśladuje Boga samego, staje się twórcą jak On, wprowadzając geniuszem swoim ideał i myśl swoją w dzieło sztuki.

A teraz przypatrzmy się artyście po stworzeniu arcydzieła.

Kiedy tworzył, czoło jego jaśniało jakby promienną aureolą, oczy jego ciskały iskry natchnienia, a teraz czoło jego okryte smutkiem, a w oczach błyszczą tylko łzy. Michał Anioł rzuca dłuto, Sanzio pędzel, Virgili chce spalić Eneidę, Tasso pogardza swoją Jerozolimą Wyzwoloną. I dla czego się tak dzieje? Dla czego? Oto dla tego, że to, co oni widzieli we wzniosłych zachwytach swojego geniuszu, było daleko piękniejsze, daleko wspanialsze, daleko promienniejsze niżeli to, co stworzyli. A teraz powiedzcie mi, materyaliści, gdzie mieszczą się te wszystkie pierwiastki piękna powszechnego i natchnienia artysty? Powiedzcie mi w którym to zwoju mózgowym, albo też w której komórce je znaleść? Czy sami nie musicie mi przyznać, że one mogą powstać tylko w duszy artysty? A ponieważ wszystkie

te rzeczy są niecielesne, więc też i dusza cielesną i materyalną być nie może.

Zastanówmy się obecnie nad zadaniem i celem sztuki.

Jakie jest jej zadanie? Zadaniem sztuki jest, iżby przekształtowała materyę, i przelewała w nią własne swoje uczucia, i własne ideały. Wielki, prawdziwy artysta potrafi przelać w nas myśli swoje, swoje drżenia, i swoje uczucia; zbliża się do nas na promienistej drodze geniuszu i daje nam zakosztować wszystkich uczuć, których tylko sam doświadczał. Twór jego działa na nas jakby promień słońca, odbijający się w rosy kropelce, który ożywia ją, barwi i odbija w niej wszystkie swoje blaski.

Jeżeli nie jesteście o tem przekonani, to obserwujcie fakt, którego wszyscy doświadczamy wobec pięknego i wspaniałego dzieła sztuki.

Czytajcie Eneidę Wirgiliusza, Boską Komedyę Dantego, i poddajcie tylko swą wyobraźnię tej lekturze, a wtedy zaręczam, że natchnienie i ideały poety porwą was, doznacie drżenia podziwu i zachwytu; geniusz artysty zapanuje nad wami, i narzuci wam swoje promienie, swoje wizye, i wszystko odczujecie razem z nim.

Przy fortepianie dotkniętym ręką mistrza, lub gdy słyszycie głos ludzki srebrny, wydający przecudne tony, czyż wam się nie zdaje, że to dusza wyswobodzona z materyi ulata na

łono odwiecznej harmonii? Czyż nie staliście nigdy — podobnie jak ja — drżący przed kopułą św. Piotra, która tak wspaniale wznosi się nad horyzontem Rzymu, i czyż wam kolana nie gięły się nigdy, podobnie jak moje, ażeby upaść przed tym Królem Chwały, któremu już tutaj na ziemi sztuka wystawiła taki przybytek?

Czyliż nigdy, podobnie jak ja, nie przypatrywaliście się z uszanowaniem owym wspaniałym freskom Sanzia? Czy dusza wasza nie rozpływała się w zachwycie wśród magicznych i potężnych tonów Rossiniego, i czy wobec tych arcydzieł sztuki nie czuliście, że między wami a ich twórcą nawiązywała się nić wspólnego czucia, łącząc wasze serca z ich sercami?

Tutaj może materyalista powie mi: „Nie trudno wytłomaczyć ten zapał; arcydzieło jest materyą wyidealizowaną". Nie! takie tłomaczenie dostateczne nie jest.

Św. Augustyn powiedział: „Piękność rzeczy jest widzialna, ale to, dla czego są piękne, tego się nie widzi". Melodye muzyki, barwy obrazu, kształty posągu, wszystko to są tylko znaki, symbole idei. Znak zaś jestto forma zamieszkana przez ideę; bez niej to tylko trup.

Arcydzieło badane jedynie ze strony materyi, nie ma w sobie — prawdę mówiąc — ani piękności, ani sztuki, ani ideału, ponieważ wszystkie te rzeczy nie działają na nasze organa, i na nasze zmysły.

W każdym arcydziele są konieczne dwa składniki: pomysł i wykonanie ze-

wnętrzne, czyli: obraz wewnętrzny i znak zmysłowy.

Tak tedy posąg wykuty w marmurze, nietylko przedstawia naturę, ale i pomysł, który jest wprost dziełem artysty.

Beethowen grał raz na fortepianie. Do pokoju wszedł jego przyjaciel, który był głuchy — i niepostrzeżenie usiadł przy mistrzu. Widząc na twarzy wielkiego artysty odbijającą się wielką boleść i smutek, był tem tak poruszony, że aż zapłakał. Beethowen spostrzegł go, i sądząc, że jest to skutek jego tonów magicznych, uściskał go wzruszony. Wtedy dopiero przypomniał sobie, że jego przyjaciel jest głuchy. Zawiedziony i zadziwiony, pyta się, co go tak wzruszyło, skoro muzyki nie słyszał, i otrzymuje odpowiedź, że wszystko odczuł i zrozumiał, patrząc się na twarz swojego przyjaciela.

Jestto więc dowodem, że skutek taki nie da się osiągnąć przez znaki, ale przez idee.

To samo, a nawet w daleko wyższym stopniu, mamy w poezyi. Gdy czytacie Iliadę, Eneidę, Boską Komedyę, widzicie tylko litery i znaki wydrukowane w tych książkach, ale by przelać w was uczucia, potrzeba, iżby dusza Homera, albo Dantego wam się przez owe znaki objawiła.

Ażeby osądzić jakie dzieło sztuki w całej jego świetności, potrzeba koniecznie, by dusza wcieliła się w to piękno.

Przecież i zwierzęta mają oczy i widzą, ale ponieważ brak im duszy, czyż mogą się na dziele sztuki poznać? Tylko człowiek może je zrozumieć i ocenić.

Przypatrzmy się wspaniałej Wieczerzy Pańskiej Leonarda da Vinci. Czy na widok tych postaci nie zdaje wam się jakbyście lada chwila mieli usłyszeć słowa wychodzące z ich ust, bo tak doskonale są oddane w ich fizyonomiach rozmaite stany ich duszy i najskrytsze ich myśli. Przypatrzcie się majestatycznej twarzy Chrystusa, i boleści malującej się na twarzy św. Jana.

A teraz, streszczam, co powiedziałem: sztuka przez istotę swoją daje pole artyście, ażeby przekształcał materyą. Aby to uczynić, trzeba koniecznie duszy spirytualnej, i wielkość artysty mierzy się właśnie ową siłą, którą posiada przeistaczanie materyi na dzieło ideału. A siła ta może istnieć jedynie tylko w duszy.

Materyalista więc nie zna zupełnie zasad sztuki. Dla niego nie istnieje pomysł piękna, i dla niego Przemienienie Sanzia ogranicza się do gry kolorów. Niezdolni do zrozumienia sztuki, są oni tem samem niezdolni do jej tworzenia.

Niosą za sobą ruinę i wandalizm, jakże więc mogliby natchnąć jakiegokolwiek artystę.

Sztuka żyje zapałem i wzruszeniami entuzyastycznemi, materyalizm więc i pozytywizm

są jej grobem i otaczają ją tylko ciemnością i śmiercią.

Dusza pragnie z utęsknieniem posiadać te rzeczy absolutnie niecielesne jakiemi są honor i cnota. Niema człowieka, któryby nie chciał ich posiadać, i nawet niewolnik zmysłów i namiętności, pragnie się choć jako tako do nich dostroić, a przynajmniej pozory ich zachować. Gdyby było możliwe używać wszelkich przyjemności materyalnych, a zarazem być cnotliwym, bardzo wielu ludzi chciałoby mieć jedno i drugie.

Wyrzeczenie się przyjemności tych dla cnoty jest ofiarą, która nie może również mieć swego źródła w materyi, ale tylko w duszy. Historya daje nam niezliczone przykłady takiego poświęcenia; mężczyźni i kobiety, ubodzy i bogaci, umieli zarówno poświęcać się dla cnoty, zapanować nad sobą i nad materyą. Rozmaite rodzaje ofiary przychodzą nam na myśl.

Młody wojownik walczący za ojczyznę, matka stająca się męczennicą dla swoich dzieci, siostra miłosierdzia gardząca wszelkimi powabami świata, ażeby się tylko opiekować chorymi i nieszczęśliwymi, święty misyonarz wyrzekający się swojej ziemskiej ojczyzny, byle tylko swoich braci w najodleglejszych krainach pozyskać dla ojczyzny niebieskiej — oto są ofiary, oto poświęcenia, które tak często spotykamy wśród społeczeństwa.

A teraz pytam się, jakim sposobem wszystko to mogłoby mieć miejsce, gdyby człowiek należał do rodzaju zwierzęcego i gdyby był tylko materyą? I z jakiegoż to źródła wypływałyby owe porywy natchnione, skąd pochodziłaby ta potęga, skąd owa idea poświęcenia?

A przecież to prawo ofiary jest tak powszechne, że chociaż nie wszyscy je pełnią, to przecie wszyscy je podziwiają, i uznają za wzniosłe.

Rousseau powiedział, że mimo wielkiej liczby złych, mało jest dusz zepsutych do tego stopnia, iżby zupełnie były nieczułe na to, co dobre. I skądże to pochodzi? Pochodzi to stąd, że mamy wrodzony instynkt podziwu i poszanowania dla cnoty i dobra; że mimowolnie musimy szanować ludzi cnotliwych, i — nie mówiąc już o materyi — lecz ani umiejętności, ani nawet sztuki, nie mogą wznieść się do takich wyżyn, do jakich dochodzi chwała i piękność cnoty.

Sofiści w swoich teoryach chcieliby wymyślić coś jeszcze piękniejszego i godniejszego miłości. Biedni szaleńcy! Czyliż nie widzicie, że zamiast wzbogacać duszę, odzieracie ją tylko z najszlachetniejszych uczuć, i straszną odpowiedzialność zaciągacie wobec społeczeństwa?!

A teraz, o młodzieży, jakże ty postępować będziesz?

Przedstawcie sobie, że macie przed oczyma dwojaki widok. Z jednej strony obszerna

piwnica, bez widoku na niebo, gdzie wszystkie czoła są pochylone ku ziemi. Tutaj to wytwarzają się wszystkie cuda świata materyalnego, tu widzieć można mikroskopy przygotowane do analizowania pierwiastków potrójnego królestwa natury, a jakkolwiek i ta dzielnica nie jest niedostępna dla uczonego chrześcijanina, zawsze jednak jest to świątynia materyalizmu.

Z drugiej strony wznosi się piękny budynek strzelający wysoko w niebo, wspaniała, błyszcząca kopuła wsparta na czterech kolumnach, przedstawiających cztery symboliczne postaci: Św. Tomasza z Aquinu, jako uosobienie umiejętności, Michała Anioła, jako wyobrażenie sztuki, św. Wincentego à Paulo, jako miłosierdzie, a na ostatniej dziecię ze złożonemi rękoma, i z wzrokiem w górę wzniesionym — to modlitwa. Na frontonie błyszczy napis: „Świątynia ducha".

Do której z dwuch chcecie wejść?

I z jednej i z drugiej strony słychać głosy zachęcające; ale nim wejdziecie, przypatrzcie się sztandarom, któremi dwa geniusze powiewają.

Geniusz złego wznosi chorągiew, na której wypisane słowo upodlające ojczyznę i rodzinę: „Niewolnictwo".

Geniusz dobrego wznosi chorągiew Chrystusa, pod której cieniem wszystko kwitnie: człowiek, rodzina, monarchia, republika, a na chorągwi tej wypisano słowo: „Wolność".

Geniusz złego woła na was: „Chodźcie tu, chodźcie, a dam wam bogactwa i panowanie nad ziemią“.

Geniusz zaś dobrego woła: „Chodźcie tu, chodźcie, a dam wam wolność dzieci Bożych, i wieczność chwały“.

Odpowiedź, moi słuchacze, zostawiam wam, waszym sercom i waszym czynom.

V.

Nieśmiertelność duszy.

Człowiek ma duszę niemateryalną. Że ta dusza istnieje, dowodzi nam własne nasze sumienie, dowodzą jej zdolności, które — jak to poprzednio powiedzieliśmy — przewyższają wszystkie siły materyi; dowodzi cnota, umiejętność, religia, które wszystkie nie istniałyby bez duszy.

A teraz zapytajmy się, czy ta dusza ma skończyć swoje istnienie z ciałem, czy też musi je przeżyć? Wiele złudzeń panuje w świecie, ale między wszystkiemi najstraszniejsze i najniebezpieczniejsze jest to, które nam przyjemnie szepce do ucha: „Jesteś na świecie jedynie na to, by używać szczęścia, dla czegoż więc przed czasem masz się zamykać w grobie, dla czego odmawiać sobie tego lub owego? Dla czego nie zrywać kwiatu rozkoszy, zanim zwiędnie i uschnie? Jedz, pij, używaj jak długo możesz, gdyż potem przyjdzie śmierć, a po śmierci — nicość".

Oto, moi słuchacze, największe niebezpieczeństwo, ciągła pokusa dla człowieka. I wielu

niestety daje posłuch takim podszeptom; ci żyją tylko dla ziemi, zamykają serce przed każdem szlachetnem natchnieniem, i na używaniu zmysłowem zasadzają całą swą szczęśliwość.

Bezbożne twierdzenie filozofii nowoczesnej, że człowiek jest zwierzęciem tylko mimo całej szlachetności i wielkości, którą w sobie czuje — nietylko jest bluźnierstwem, ale zarazem i głupotą.

W człowieku jest coś, co nie umiera nigdy, co przeżyje ciało zbutwiałe w grobie: to dusza, co uwolniona z więzów ciała, biegnie do Boga, który ją stworzył nieśmiertelną.

Nieśmiertelność duszy jest prawdą zasadniczą, najważniejszą i najpotrzebniejszą. Chciejcie, moi słuchacze, ofiarować mi kilka chwil uwagi.

Pan Bóg chcąc na zewnątrz objawić jedną ze swych nieskończonych myśli — przemówił; nicość słuchała go; wieki rozpoczynają się i świat jest stworzony. Pojawia się ziemia, przyodziewa się roślinami i kwieciem, zapełnia się zwierzętami, firmament się roztacza, zapalają się błyszczące gwiazdy, w głębinach morskich pluskają ryby, a w przestworach powietrza śpiewają i latają ptaki. Nagle ów najwyższy artysta zatrzymuje się. Trójca Najświętsza zastanawia się, namyśla, i wchodzi ze Sobą w radę.

Zdawaćby się mogło, jakby chciała zebrać w Sobie całą Swą siłę twórczą dla dokonania

jakiegoś najwspanialszego dzieła. I oto z tej najwyższej rady wychodzi: *„Uczyńmy człowieka“*. Stwarzając światło Bóg powiedział: *fiat lux* — i stało się światło, teraz zaś mówi uczyńmy. Uczyńmy człowieka wodzem całego świata, czytelnikiem w tej wielkiej księdze, kapłanem stworzenia, panem ziemi i wszystkich zwierząt, które ją zamieszkują.

Z mułu ziemi jest utworzony człowiek, ale ciału jego Bóg dać chce duszę rozumną i wtedy z własnego serca bierze tchnienie, które na niego przelewa i — człowiek żyje. Ciało nędzne, ciężkie, jako narzędzie z tej nędznej gliny psuje się i niszczeje, ale co dzieje się z duszą?

Dusza nie zna granic ani czasu, ani przestrzeni; ona-to odkrywa przeszłość, rozkopuje groby, rozmawia z prochami tych, których już nie ma; panuje nad teraźniejszością, przenosząc się na iskrze elektrycznej z jednego bieguna do drugiego, odwiedzając narody, badając zwyczaje i prawa ludów, licząc gwiazdy, lub też zagłębiając się we wnętrznościach ziemi dla szukania ukrytych w niej skarbów; rzuca się ona także w przyszłość, i rozrywa zasłonę zakrywającą rzeczy, których jeszcze nie ma, przepowiada nietylko ruchy gwiazd, ale nawet upadek ludów, i zniszczenie narodów.

Ale i to wszystko jest dla niej za mało: dusza wznosi się aż do samego Króla Chwały, wzrok swój zatapia w Jego świetle niewypowiedzianem, uwielbia Go, błogosławi i łączy

się z Nim w miłości. W tym wzniosłym biegu duszy wszelkie stworzenie znika jej z przed oczu, widnokres się rozszerza, wszelkie więzy krępujące ją spadają, i kiedy nakoniec dosięga do źródła życia, wtedy oddaje pokłon Bogu i mówi Mu: „Otom Twoje stworzenie!“

A ciało gdzie zostało? Tutaj, — nieme martwe, podczas kiedy ów anielski motyl uniósł się w nieskończoność.

I czyż można przypuścić, ażeby ta dusza badająca przeszłość, panująca nad teraźniejszością, zatapiająca swój wzrok w przyszłości, miała podlegać losowi mgły, która się wznosi w przestworza i znika?

Lecz to jeszcze nie wszystko. Dusza nie tylko posiada zdolności pojmowania, ale zarazem zdolność chcenia, czem także stwierdza się nieśmiertelność. To prawda, że dusza zostaje podwładną Bogu, ale nawet sam jej Stwórca nie gwałci jej i nie ścieśnia jej wolności. Można ją skusić złotem, można uwieść ją pozorami chwały, ale zmusić ją do czegoś, gdy ona sama nie chce — nigdy!

I jakiejże siły użyjecie przeciwko mnie? Ciału mojemu możecie zadawać niewiem jakie udręczenia, możecie je nawet zniszczyć, ale i przykładając mi puginał do piersi, nie zdołacie powstrzymać, ażeby ta moja wolna dusza nie zaprotestowała i nie zawołała „Nie chcę!“ Dusza ta wolna urąga jeno wszelkim wysiłkom bezbożników i prześladowaniom tyranów, chociażby nawet i to ciało było zniszczone i za-

bite, to przecież nie kat będzie tryumfował, lecz dusza, która się wzniesie z ziemi do nieba. Ale to jeszcze nie wszystko.

Dusza panuje nad ciałem, i zmusza je do poddania się ostrej pokucie; ona każe mu się wyrzec uciech i rozkoszy tego świata, a nawet każe mu z uśmiechem ponieść śmierć dla tryumfu swojej wiary i chwały Boga.

A teraz pytam, czyż można przypuścić, iżby ta królowa, ta pani i władczyni ciała, miała zniknąć i skończyć swe istnienie razem z tą nędzną gliną, którą ożywiała?

Lecz i tu jeszcze nie koniec. Mamy serce tęskniące do szczęścia. Szczęście! oto słowo, które porusza nam serce, a to uczucie i pragnienie szczęśliwości jest silniejsze od nas samych, nie możemy się go pozbyć nigdy, i wszędzie nosimy je ze sobą. Jestto jakby wrodzony nam instynkt, i jak gdyby głos natury. I czyliż można przypuścić, iżby Bóg dla tego tylko wlał w nas to pragnienie, by nas zawieść? Szczęścia szukamy wszędzie, ale napróżno, gdyż nie jest ono ziemskim kwiatem. Serce nasze jest garścią prochu, a przecież cały ten świat jest za mały, by je wypełnić. Mając złoto, które mu daje różnego rodzaju rozkosze, nie powie ono nigdy:—dosyć. Podobne w tem do Cezara, który posiadając połowę świata mówił z goryczą: „I to ma być wszystko?“ Dobra ziemskie nie zaspokoją nigdy serca, zaspokoić może je tylko Bóg,

który dał mu środki do osięgnięcia pełnej szczęśliwości.

Dla owcy nie zabraknie nigdy trawy na łące, dla lwa nigdy żeru nie zabraknie, ptak znajdzie zawsze dla siebie pożywienie, i ja tylko sam pozostać miałbym niezaspokojony? Przyroda wówczas nie byłaby dla nas matką ale macochą i tyranką. A czy to możliwe? Nie! Ponieważ wtedy sam Bóg, który daje wszelkie prawa naturze, musiałby być kłamcą! Podobnie jak każda dobra matka, która pragnie odwrócić dziecię od niebezpieczeństwa pokazuje mu jakiś przedmiot w przeciwnej stronie, tak samo też Bóg przez swój Kościół, ażeby nam ułatwić zniesienie wszelkich przykrości tego życia, pokazuje nam szczęśliwość, będącą dopiero po za grobem. I dla tego to św. Paweł słowami pełnemi nadziei wołał: *„Mieszkanie nasze nie jest tutaj na ziemi, ale w niebie“*.

I rzeczywiście, dosyć spojrzeć w niebo, a już przedstawi nam się życie lepsze, i obudzą się w nas uczucia szczęśliwości przyszłej, zapowiedź naszej nieśmiertelności.

Są w życiu naszem chwile, w których uczucie to objawia się w sposób szczególniejszy, w sposób dziwnie potężny: kiedy jesteśmy przygnieceni nieszczęściem, kiedy doznajemy wyrzutów sumienia, albo gdy jesteśmy przy śmiertelnem łożu drogiej nam osoby. Wtedy boleść ma w sobie przywilej, że wszelkie powątpiewania i niepewności ustę-

pują, a myśl nasza rwie się mimowolnie do życia przyszłego. Gdy się cierpi, ma się nadzieję, a nadzieja ta łagodzi wszystkie smutki, uspokaja obawy, i dodaje siły. „Wśród wszystkich moich przyjemności znajduję nudę i niesmak taki, że wolałbym umrzeć, ale zarazem czuję w sobie nadzieję, która każe mi podnosić oczy w niebo", wołał raz w chwili przygnębienia człowiek o bardzo smutnej sławie. — A Wiktor Hugo powiedział: „Dajcie ludowi, ludowi który cierpi, i którego los jest z dniem każdym trudniejszym, dajcie mu nadzieję świata lepszego — w jego nędze i w trapiące go cierpienia rzućcie promień nadziei, a już los jego poprawicie, bo zdobędzie się na cierpliwość, gdyż cierpliwość to córka nadziei".

A Jezus Chrystus powiedział: *„Błogosławieni ubodzy, albowiem ich jest królestwo niebieskie"*.

Podobnie jak nieszczęście rozbudza w nas uczucie nieśmiertelności, tak samo uczucie to budzą wyrzuty sumienia. Pewien sławny pisarz powiedział: „Gdyby było możliwe, iżbym przy całym rozwoju rozumu, obraził śmiertelnie mojego ojca, i on umarł był pierwej, niżeli ja zdołałbym był go przeprosić, to zdaje mi się, że wyrzuty sumienia nie odstępowałyby mnie ani na chwilę, i we wszystkich okolicznościach życia czyn ten miałbym nieustannie przed oczyma. Skądże pochodziłyby owe wyrzuty sumienia, gdybym miał przekonanie, że po za grobem nic nie ma?"

Ale kiedy poczucie nieśmiertelności duszy objawia się w nas najżywiej i najpotężniej, to w obec widoku śmierci. Przy łożu umierającej drogiej osoby prawie niepodobna wątpić o nieśmiertelności duszy. Kiedy widzicie przed sobą zwłoki ojca, matki, żony, brata albo przyjaciela, gdy widzicie siniejącą tę twarz, która się do was z taką dobrocią uśmiechała, gdy widzicie jak mgłą zachodzą te oczy, które się na was patrzały z taką miłością i z takiem współczuciem, kiedy czujecie, że ta ręka, która was tak często ściskała albo błogosławiła, obecnie jest nieczuła na wasze pocałunki; kiedy widzicie zamykające się te usta, które wam tyle miłych słów powiedziały i kiedy w około siebie słyszycie tylko płacz i echo smutnego krzyku: „umarł, umarł!“ — czy możecie wtedy powiedzieć: „Już się wszystko skończyło: nie zobaczę go już nigdy, nigdy?“ O! ludzie, czyż wy nie czujecie jaka przepaść rozpaczy mieściłaby się w tem jednem słowie?

Ale nie! gdyż właśnie w takich chwilach budzi się w nas silne przeświadczenie, że jest inne, szczęśliwsze życie, w którem zobaczymy naszych ukochanych.

Gdyby tak nie było, moglibyśmy słusznie oburzyć się przeciwko Bogu, i zawołać: „Oszukałeś mnie, ponieważ wlałeś we mnie nadzieję zwodniczą, i miłość, która skłamała samej sobie“. Gdyby życie nasze kończyło się za grobem, byłoby ono piekłem, a zarazem największą nielogicznością: udręczeń zawsze

pełne, a tak krótkie życie. Miłość, przyjaźń byłyby tylko mrzonką, prawda, sprawiedliwość tylko złudzeniem. I któż mógłby o tem pomyśleć, nie przytłumiwszy w sobie najszlachetniejszych porywów serca? Jakże jasno to przeświadczenie o nieśmiertelności budzi się w nas przy grobie! Czyliż to garść owa prochu, która się tam znajduje, budzi naszą miłość i cześć naszą? Nie! bo z grobu wychodzi głos który woła: „Nie, tutaj nie wszystko się kończy".

Cześć grobów jest droga i święta wszystkim ludom, ponieważ u wszystkich ludów jest głęboko zakorzenione przeświadczenie, że coś przeżyje śmierć, a to coś nie może być materyą, która ulega rozkładowi, ale duszą będącą duchem i życiem. „Wszystkie dzieciństwa metafizyki — powiedział Rousseau — nie potrafią nigdy obudzić we mnie choćby na jedną chwilę powątpiewania o nieśmiertelności mojej duszy. Ja ją czuję, wierzę w nią, w niej mam nadzieję, ja chcę ją posiadać i będę jej bronił aż do ostatniego mego tchu".

I dla tego to, że wiara owa w nieśmiertelność duszy jest tak powszechna u wszystkich ludów, zamieniła się ona w artykuł wiary całej ludzkości.

A ten artykuł jest głoszony po wszystkie czasy i u wszystkich ludów. Abraham pociesza się przy ofierze Izaaka wiarą w zmartwychwstanie; Tobiasz naucza syna miłosierdzia, wskazując na życie wieczne; Job, któ-

rego wszyscy opuścili, utwierdza w sobie nadzieję, że powstanie z grobu; Machabejczykowie oddają swoje członki katowi, mówiąc: „Bóg nam wszystko odda". — Psalmiści i prorocy opiewają rozkosze wieczne człowieka sprawiedliwego, malują zarazem cierpienia zagrobowe złych, przeklętych od Boga.

Chaldejczycy wierzą, że na gwiazdach są karani i nagradzani ludzie. Egipcyanie i Grecy wierzą w swoje Pola Elizejskie, Persowie w swój tartar. A Rzym? Wystarczy przeczytać Eneidę Wirgiliusza, i Tuskulanki Cycerona, ażeby przekonać się, jaką czcią były tam otoczone groby.

Forma jest rozmaita, ale wiara jest jedna i ta sama wszędzie. Zdaje się, jakoby Bóg wyrył był w głębiach naszej duszy to słowo: Nieśmiertelność, i chciał, żeby ono było jasną pochodnią wśród największych ciemności barbarzyństwa. Na piasczystych wybrzeżach Afryki dziki Hotentot wkłada do grobu swojego przyjaciela łuk i włócznię, aby zmarły mógł walczyć nawet w krainie dusz. — Dzikim zdaje się, że słyszą w świście wiatru jęki dusz umarłych. Kiedy biedna matka indyjska roni łzy na grobie swojego dzieciątka, dolewa zarazem do nich mleka; na grobie dorosłych stawiają różne potrawy, jak gdyby dusza potrzebować ich jeszcze mogła; wszystko to są zabobony dziwaczne i często śmieszne, ale jakkolwiek wypaczają one ów dogmat nie-

śmiertelności duszy, to jednak równocześnie potwierdzają go niewątpliwie.

I ten głos całej ludzkości nie miałby być głosem prawdy? Namiętności rozpasane chciały zagłuszyć ten głos, ale nie potrafiły. Były to zawsze tylko głosy pojedyncze i wyjątkowe, gdy tymczasem za tą prawdą przemawiał głos całego rodzaju ludzkiego i głos Boga. — Boga? I znów zjawia się nowy argument tych, którzy zaprzeczają nieśmiertelności duszy. Mówią oni: „Bóg jako stwórca może także i zniszczyć duszę, a tem samem nie możemy wiedzieć, czy ją zachowa". Pozostawmy na boku przypuszczenie, czy Bóg może, albo nie, zniszczyć duszę, i niech dla nas wystarczą dowody, że On tego nie chce, i nigdy tego nie zrobi.

W Bogu są zgromadzone wszystkie doskonałości; mądrość, dobroć, świętość i sprawiedliwość, a gdzież objawiłyby się te doskonałości Boskie, gdyby wszystko kończyło się z naszą śmiercią? I w cóż obróciłaby się mądrość Boska, gdyby dusza nasza była zniszczona? Bóg dał człowiekowi prawo, którego wyrażeniem i miarą jest obowiązek, nie może więc w żaden sposób brakować sankcyi objawiającej się w nagrodzie dla tych, którzy go pełnią, i w karze dla tych, którzy przeciwko niemu grzeszą. Gdyby wszystko kończyło się na ziemi, owa sankcya musiałaby znajdować się tutaj, ale gdzie? Czy może w kodeksie i w prawach ludzkich?

Lecz wieleż to zbrodni popełnia się w skrytości, wieleż to nikczemności wymyka się kodeksowi, a wieleż to razy służy on nawet za płaszczyk dla nikczemności. A więc może w opinii?

Ileż to jednak przypadków opinia ta uniewinnia, zamiast potępić, a wieleż to znów razy potępia, zamiast uniewinnić, a przynajmniej wytłomaczyć!

A więc ową sankcyą dadzą nam może wyrzuty sumienia?

Ależ właśnie każdy wyrzut sumienia to tylko widmo przyszłego życia stające przed oczyma zbrodniarza. Inaczej dosyćby było trochę trucizny, albo pistolet wystarczyłby, aby się go pozbyć, i w ten sposób społeczeństwo i Bóg zamiast zbrodniarza znalazłby tylko trupa.

A więc gdzieżby jeszcze można znalezć sankcyą dla praw Bożych? Oto w pokoju, który towarzyszy wypełnianiu cnoty. W takim razie wiele cnót byłoby pozbawionych nagrody, gdyż one właśnie są pozbawione tego pokoju.

Gdzież np. byłaby nagroda dla heroizmu i ofiary? Jakiś człowiek stawiony jest przed tyrana, który zadając mu najstraszniejsze męczarnie, woła na niego: „Wyrzeknij się swojej wiary, albo umieraj", on zaś cierpi, i odpowiada: „Umrę i umrę szczęśliwy, ale wiary mojej się nie wyrzeknę". I jakąż więc nagrodę znajdzie ten męczennik?

Młody żołnierz postawiony jest na niebezpiecznej placówce; jeżeli zejdzie z tego miejsca ocali się, ale obowiązek, honor i miłość ojczyzny wstrzymuje go; pozostał i umiera.

I gdzież jest nagroda dla tego bohatera? Będą mówić o nim. Lecz cóż mu z tego przyjdzie, że go będą wychwalali, co mu przyjdzie z tych kwiatów, któremi jego trumnę ubiorą, cóż mu nawet przyjdzie z łez wylanych na jego grobie, jeżeli on już istnieć nie będzie? Piękną jest rzeczą, poświęcić się dla ojczyzny, wzniosły i godny szacunku jest żołnierz, który życie swoje oddaje dla ocalenia swojego kraju, ale jeżeli wszystko kończy się tutaj na ziemi, to ofiara ta jest bezrozumna, i żołnierz ten zasłużyłby raczej, ażeby mu zdarto z piersi medal zasługi, ponieważ nie umiał zachować życia, które byłoby wtedy najwyższem dobrem na ziemi. Ktokolwiek zaprzecza nieśmiertelności duszy, ten przeniewierza się i ojczyźnie i całej ludzkości.

Gdyby zabrakło sankcyi dla prawa obowiązku, gdzież byłaby mądrość Boga. Gdyby On tworzył dla niszczenia, stałby się w tem podobny do dziecka. A potem, dla czego niszczyć duszę, gdy nie ma nic zniszczalnego, i nic nie może być zniszczone nawet tutaj na ziemi. Weźcie jakikolwiek atom, rozdzielajcie, rozkładajcie, a zniszczyć go do tego stopnia, żeby ani cząsteczka z niego nie pozostała, nigdy nie potraficie; czyliż dusza tylko sama mogłażby być zniszczona?

Gdyby dusza umierała razem z ciałem, życie człowieka byłoby podobne do życia zwierzęcia, nad którem on panuje, do istnienia rośliny, którą nogą podepce i często trwałoby krócej, niźli wszystkie te rzeczy.

Bóg, który z taką miłością opiekuje się najdrobniejszemi stworzeniami, mógłżeby zniszczyć swoje arcydzieło?

Rafael przed swojem Przemienieniem, Michał Anioł przed swoim Mojżeszem, czyż mógłby powziąć myśl zniszczenia tych wzniosłych tworów własnego geniuszu? A jakże możemy przypuścić, ażeby Bóg stworzył te miliony dusz na to tylko, ażeby je zniszczyć? Wszakże to nie dałoby się żadną miarą pogodzić z mądrością: u człowieka taki czyn nazywałby się — szaleństwem.

A gdzież byłaby dobroć i świętość Boga? Oko jego sięga wszędzie, widzi bezeceństwa, niegodziwości, wyuzdane orgie, widzi straszne zbrodnie spełniane w ciemnościach, widzi tryumf niesprawiedliwości, a sprawiedliwych uciśnionych i płaczących, widzi najniesłuszniejsze wojny i krwią broczące narody całe, i mógłżeby — On święty, On dobry, On sprawiedliwy puścić to wszystko bezkarnie?

Z drugiej strony widzi On tyle cnót spełnianych z poświęceniem, widzi męczenników, ofiary, bohatyrów poświęcających się dla ojczyzny, słyszy gorące modły zanoszone przed Jego tron. — Tak na dobre jak i na złe miałżeby On się patrzeć jednakowym wzro-

kiem? Alež wtedy nie byłoby już dobra ani zła, nie byłoby już mądrości, świętości, sprawiedliwości bożej, nie byłoby już Boga samego!

A teraz moi słuchacze, zbliżmy się jeszcze do śmiertelnego łoża i tam badajmy tajemnicę nieśmiertelności.

Oto dzieweczka, która całe swoje krótkie życie spędziła w czystości i na wypełnianiu dobrych uczynków. Była przykładem dobroci, dumą swych rodziców, miłością swego rodzeństwa, ubodzy nazywali ją swym aniołem. Na łożu śmiertelnem uśmiecha się ona wśród łez do tych, którzy ją otaczają. Spokojna, zrezygnowana, patrzy się na wizerunek Jezusa, całuje krucyfiks i woła: „Panie w ręce Twoje oddaję ducha mojego!“

I na słowa tego anioła mógłżeby Bóg odpowiedzieć: „Nie oddawaj się żadnym złudzeniom, gdyż ja ciebie zniszczę“.

Na drugiem łożu umiera druga kobieta. Była zakałą swojej płci, wstydem swojej rodziny, umiera bez żalu, bez skruchy i jeszcze w ostatniej godzinie urąga wszelkiemu moralnemu prawu.

I czyliż wy bracia, na grobie niewinnej dziewczyny napiszecie, że była to szalona, która się oddawała nierozsądnym marzeniom, a na grobie tej drugiej, — że miała prawdziwy rozum i nic nie robiła złego?

Zaczekajcie! Przyjdzie taki dzień, w którym cała scenerya się zmieni, a kiedy śmierć podniesie zasłonę, wtedy zobaczymy, jak

wielka różnica jest między zbrodniarzem a sprawiedliwym, bo wtedy złego zobaczymy w strasznych mękach, a sprawiedliwy ukaże nam się z aureolą wiecznej chwały.

A teraz, moi słuchacze, pozwólcie mi do tego wszystkiego, co powiedziałem, dodać jeszcze jedno słowo.

I któż to są ci, którzy uznają nieśmiertelność duszy, a któż — przeciwnie - są ci, którzy jej zaprzeczają. Cały świat podzielony jest na dwa wielkie obozy: z jednej strony wszyscy zwolennicy występku, z drugiej zwolennicy cnoty.

Podnieście więc głos i zapytajcie: „O wy wszyscy, którzy byliście plagą społeczeństwa, Nerony, Domicyany, Maraty, wszyscy tyrani, zbrodniarze, powiedzcie, co wybieracie. Czy chcecie przeżyć wasze ciała? Czy chcecie, by dusza wasza była nieśmiertelna?" „Nie! — odpowiedzą, — niech umiera! niech umiera z naszem ciałem!"

A wy, których cnota nazywa swojemi dziećmi — co wybieracie?

I tu znów podnosi się powszechny okrzyk: „Dusza nasza jest nieśmiertelna! musi być nieśmiertelna!" — A my komuż uwierzymy? Czy tym złym, tym zbrodniarzom, którzyby chcieli, żeby ich dusza zniszczała, czy też owym cnotliwym, którzy wierzą w jej nieśmiertelność?

O Boże mój! ja nie wątpiłem nigdy, i wiedziałem dobrze, że nie ma takiej siły stworzonej, któraby mogła zniszczyć duszę moją; wie-

działem dobrze, iż Ty święty, Ty dobry, Ty sprawiedliwy, nie mógłbyś chcieć jej zniszczenia. Ale teraz pewność jest jeszcze większa: i cnota i niewinność wydały wyrok: „Dusza jest nieśmiertelna!“

Tutaj powinienbym skończyć, ale ponieważ złość prawdziwie szatańska nurtuje i obałamuca umysły, pozwólcie mi dorzucić jeszcze jedno.

Wiedzcie, że sprawa wolności, cywilizacyi, zbawienia ludów i szczęście ojczyzny, wszystko zależy, wszystko spoczywa na dogmacie nieśmiertelności duszy i na wierze w przyszłe życie; dlatego nie tylko lekkomyślnymi, ale prawdziwymi wrogami i zdrajcami ojczyzny są ci, którzy występują przeciwko temu dogmatowi. Historya daje nam pod tym względem straszliwą naukę, pokazuje nam bowiem, że wszystkie ludy i narody, które tylko tracą wiarę w nieśmiertelność duszy, zbliżają się zaraz do upadku i ruiny. Przecież nawet materyalista Figuier nie wahał się powiedzieć: — „Nie dynamit zniszczył pomniki Francyi, ale materyalizm“. Materyalizm, jest śmiercią, ponieważ cywilizacya, wolność, obyczaje, wszystko to stanowi łańcuch, którego spójnią jest dogmat nieśmiertelności duszy: usuńcie tę spójnię, a wszystko pójdzie w rozsypkę.

Powiadają, że ostatni bohater Polski, padając na placu bitwy, zawołał: Finis Poloniae!

Ach moi słuchacze, strzeżmy się, bo jeżeli zatracimy w sobie wiarę w nieśmiertelność duszy, wiarę w sprawiedliwość Boga, który nagradza i karze — kiedy te niezdrowe doktryny znajdą posłuch w sercu ludu, wtedy i my zawołać będziemy musieli: Finis Italiae, ponieważ będziemy mieli anarchią wewnątrz, a najazd zewnątrz.

Ale mam nadzieję, że dusza tryumf odniesie w tej walce, która jej została wydana, i jeśli do kogo, to do was, szlachetna młodzieży, zwracam się i zaklinam, iż jeżeli droga wam jest wolność i zbawienie ojczyzny, tedy nie dajcie przystępu do serc waszych owym zgubnym dzisiejszym teoryom, walczcie z niemi na polu prawdziwej, poważnej nauki, walczcie słowem, walczcie energią woli, a przedewszystkiem czynami godnymi waszych nieśmiertelnych przeznaczeń.

VI.

Konieczność religii.

Przekonaliśmy się już, iż Bóg istnieje i że istnieje dusza, obecnie przychodzi nam się zastanowić nad pytaniem, czyli między niemi nie ma jakiego związku i spójni.

Spójnię taką znajdujemy właśnie w religii, bo i czemże jest religia? Jest ona właśnie owym związkiem pomiędzy Bogiem a człowiekiem, jest spójnią łączącą człowieka skończonego z nieskończonością odwieczną, jest prawem moralnem, jest ogniskiem czci, jest uczuciem wdzięczności i uwielbienia stworzeń dla Stwórcy.

I czyż możnaby istnieć bez tego? Wewnętrzny głos naszej duszy odpowiada, że nie. Czy potraficie gdziekolwiek wynaleść lud pozbawiony w zupełności wiary i religii? Czasem znajdzie się głos jakiś zbłąkany, że między niebem a ziemią nie ma żadnej łączności, ale będzie to tylko głos pojedynczy, zagłuszony powszechnym hymnem chwały i dziękczynienia. We wszystkich epokach, u wszystkich

ludów tak wśród największego barbarzyństwa, jak w rozkwicie świetności i postępu, wszędzie zobaczycie ołtarz, ofiarę, kapłana, i gdzie tylko znajdziecie ślad człowieka, znajdziecie zarazem ślad religii.

Zarówno na Wschodzie jak w Grecyi, w Rzymie, i wśród chrześcijańskiego świata, wszędzie przeduje myśl religijna.

Człowiek w Starym i w Nowym Testamencie jest przedstawiony jako wygnaniec tęskniący do ojczyzny, jak syn tęskniący do ojca; w życiu Rzymian, owego królewskiego ludu, czytamy w jego filozofach, mówcach i poetach, że religia jest kamieniem węgielnym porządku społecznego, warunkiem istnienia i chwały.

Świat grecki również w swojej filozofii, jak w historyi i w arcydziełach sztuki mówi nam ciągle o Bogu. Wszędzie, jednem słowem, znajdziemy ludzi korzących się przed ołtarzami, tęskniących do Boga, i nie mogących żyć bez Niego. Z tego widać, że religia jest nieodzowną potrzebą ludzkości.

A teraz, gdy już usłyszeliśmy odpowiedź historyi, szukajmy odpowiedzi filozofii.

Nawet sami ateusze, a na ich czele Voltaire, uznają konieczność religii.

Gdyby można żyć bez niej, ateizm byłby najzupełniejszą prawdą. Ale jeżeli jest Bóg, który nam dał życie i to życie zachowuje swoją Opatrznością — jakże nie okazać Mu wdzięczności? Jeżeli jest Bóg, który nakazuje nam

spełniać to, co dobre, a złego się chronić, to jakże niesłuchać Jego praw najświętszych? Jeżeli jest Bóg, który nas ma sądzić i nagrodzić dobrych, a pokarać złych, to czyż każdej chwili nie powinniśmy być gotowi znaleść się przed tym Sędzią?

Gdy człowiek każdej chwili zależny jest od swojego Stwórcy, to czyliż rozum jego nie wskaże mu, że ową zależność powinien zatwierdzić, przynosząc Mu w ofierze i swoje serce i swoją wolę i całego siebie.

I niech nikt nam nie mówi, że Bóg nie potrzebuje naszego uwielbienia, ponieważ Sam w Sobie jest najszczęśliwszy: choć to rzeczywiście jest prawdą, to przecież nie może On zwolnić swojego stworzenia, by Mu należnej czci nie oddawało.

Wszakże już sam porządek rzeczy domaga się tego, żeby stworzenie oddawało cześć Stwórcy, jako zupełnie od Niego zależne. I gdy tylko uznamy, że świat ten nie powstał sam przez się, ale został stworzony, tem samem religia staje się konieczna, nieodzowną, i jak była zaraz w pierwszym człowieku, tak nie zniknie aż z ostatnim.

Lecz religia jest również warunkiem naszej szczęśliwości, bo zaiste na czemże polega szczęśliwość ludzka, jeżeli nie na powiększaniu i udoskonaleniu władz naszych: ona — to stanowi prawdziwą ducha ludzkiego wielkość.

Jakże wielka i wzniosła jest idea człowieka, którą nam stawia religia! Dzieło wyszłe

z rąk Boga, tęskniące do Niego, i mające kiedyś osiągnąć nieskończoność — oto przeznaczenie człowieka, jak nas uczy religia, a Pismo św. twierdzi, że niema dość słów, by tę wielkość ducha ludzkiego określić. Przeciwnie, czemże jest życie pozbawione światła wiary? Czy ma się ono ograniczać na rodzeniu, cierpieniu, łzach, trudach i boleściach, a skończyć w dole cmentarnym? Lecz w takim razie to nie życie, ale ironia życia, i każde zwierzę, każda ptaszyna, byłaby tysiąc razy szczęśliwsza niźli człowiek obdarzony rozumem.

Dalej religia wzmacnia człowieka i czyni go niezwalczonym, napełniając go uczuciem uporu przeciw każdej tyranii. Wszakże ona to natchnęła Habnera do napisania tych słów: „Boję się Boga, innej zaś nie znam bojaźni". Arystoteles powiedział: „Człowiek, który się nie boi Boga, nie jest człowiekiem odważnym, ale chorym, bo zarówno jak nie jest odważnym ten, kto się boi wszystkiego, tak samo nie jest odważnym ten, kto nie boi się niczego, nawet bóstwa".

Bakon zaś pisze: „Podobnie jak pies w pobliżu swego pana ma daleko więcej odwagi, czując się wspartym przez wyższą naturę, tak samo i człowiek, który wierzy w Boga, jest zwykle daleko odważniejszy od tego, kto wiary pozbawiony".

Niektórzy profesorowie chcą w nas koniecznie wmówić, że pochodzimy od zwierzęcia, ale póki goryl nie napisze Iliady, Eneidy,

czy Boskiej komedyi, póty nie uwierzę w takiego antenata, który od lat Matuzalowych w niczem nie objawił żadnego postępu.

Co innego człowiek, skoro podniesie czoło i powie: „Ojcze nasz“, a Bóg nazwie go swoim dziecięciem, wtedy każdy uznać musi, że jest on wyższym nad zwierzę, i że jest królem stworzenia.

Toteż z pogardą odrzućmy naukę tych wszystkich, co chcą nas okraść z tej godności i z czoła nam zedrzeć aureolę, w którą nas Bóg sam przyozdobił.

Pewien młodzieniec, powróciwszy z obcej stolicy, zaczął w jednem towarzystwie objawiać swoje zasady ateistyczne, nie znajdując jednak potwierdzenia, zawołał: „Jakto, czyżbyście państwo należeli do tych naiwnych, którzy zostają pod wpływem księży, tych mistrzów nieuctwa?“

— „O! przepraszam — odpowie pani domu — są pod tym dachem dwie istoty, które w zupełności podzielają pańskie zdanie, chociaż nigdy nie były w Paryżu“.

— „Któż to taki? Chętnie poznałbym się z niemi“ — zawołał młodzieniec.

— „Jest to mój pies, i mój koń, którzy jakkolwiek są pańskiego zdania, to przynajmniej z niem nie wyjeżdżają“.

I rzeczywiście człowiek jest o tyle człowiekiem, o ile jest religijny, gdyż pozbawiony tych uczuć, staje się istnym potworem.

Brak religii wytwarza dalej straszną próżnię w sercu człowieka, przyćmiewa światło jego umysłu, a człowiek, widząc w około siebie ciemność i próżnię, popada w rozpacz, ponieważ nic nie zdoła nas pocieszyć w nieszczęściach teraźniejszości, jeżeli zabraknie nam wiary w przyszłość; zwątpiwszy o Bogu człowiek wątpi także o samym sobie, i wszędzie widzi w około siebie zagadnienia, których rozwiązać nie umie.

Zdala od Boga nawet geniusz nurza się w prochu i w błocie. Ginie spokój i radość. Słodkie sny, błogie nadzieje, wszystko pierzchła z duszy, która nie wierzy, która nie ma religii, podobnie jak stado ptasząt ucieka przestraszone widokiem jastrzębia.

Gdy nie mamy religii, to nietylko cierpi nasze serce i dusza, ale jesteśmy także pozbawieni wszelkiej pociechy. Oto człowiek, któremu wszystko udawało się w życiu, któremu nie zbywało na niczem, a jednak teraz musi sobie powiedzieć: „Mam lat siedmdziesiąt, jestem stary, i prócz śmierci nic mi już niepozostaje". Oto kobieta pozbawiona religii, dawniej błyszczała w świecie, odbierała hołdy, a dziś wszystko to przeszło jak kwiaty zwarzone podmuchem jesieni, i dziś musi sobie powiedzieć: „Jestem stara, i nie pozostaje mi nic jak śmierć".

Ale to jeszcze nie wszystko. Wystawmy sobie człowieka, który miał syna, będącego jego chwałą i podporą. Śmierć zabiera mu tego

syna i nieszczęśliwy widzi w około siebie tylko przepaść nędzy i rozpaczy. Stęskniony i rozpłakany pochyla się on nad tym grobem, który kryje wszystko, co miał najdroższego; a jednak ten ojciec wzdryga się czasem przestraszony, podobny w tem do dziecięcia, które nastąpiło na żmiję. O! szczęśliwy i błogosławiony, jeżeli chociaż wtedy nawróci się do Boga. Ale jakże często ludzie aż do ostatniego tchu odpychają od siebie to światło niebieskie. Nie zdołają wszakże siebie samych oszukać, chociaż oszukują drugich, i pod maską pozornej spokojności kryją udręczony umysł, nieukojone serce, i życie z trudem wleką ku grobowi.

Oto macie, moi słuchacze, człowieka pozbawionego religii, a przecie rzeczywistość przewyższa jeszcze to wszystko.

Byron opisując człowieka bez religii powiedział, że jest on podobny do biednego rozbitka, którym bałwany oceanu miotają w tę lub ową stronę; albo też do nieszczęsnego podróżnika, który zabłądziwszy w pustyni, nie znajduje nic, jak tylko piasek i kamyki zamiast pożywienia.

Lecz może nie jeden z moich słuchaczów chciałby mi powiedzieć: „Nie przeczymy i nie żądamy więcej dowodów, że człowiek potrzebuje religii, że ona jest mu konieczna nawet do szczęścia na tym świecie; ale wszystkie religie są równie dobre“.

Oto jest twierdzenie niedowiarstwa, oto jest teorya, którą tak często można spotkać po

książkach i dziennikach, oto herezya, która miesza prawdę z błędem, i która sadza równocześnie na tronie i występek i cnotę..

Nie! nie wszystkie religie są dobre, i podobnie jak jest jeden tylko Bóg, tak samo jedna może być prawdziwa religia. Jeżeli powiadamy, że wszystkie są dobre, to tem samem obalamy wszystkie, i w rzeczywistości głosimy tylko ateizm.

Gdyby owa mniemana wyrocznia, że wszystkie religie są dobre, była prawdziwa, wtedy ustałaby wszelka dyskusya i człowiek mógłby sobie wybrać tę, któraby mu najwięcej przypadała do gustu. Lecz wtedy możnaby zapytać, na co Chrystus na ziemię zstępował? Dlaczego apostołowie głosili Jego słowo? Dlaczego tylu męczenników śmierć ponosiło? Dlaczegoż i wy nawet za pomocą pieniędzy staracie się zdobywać sobie uczniów szczególniej między pospólstwem i młodzieżą? Jeżeli wszystkie religie mają być dobre, to dlaczegóż naszej za dobrą nie uznajecie, i zamiast zostawić nas w spokoju, dlaczego z taką zajadłością występujecie przeciwko nam i katolicyzmowi, nazywając go nikczemnym, podłym i godnym nienawiści? — Przecież i katolicyzm jest religią, dlaczegoż więc, tolerując inne wyznania, tylko przeciwko niemu toczycie tak zaciekłą walkę, i chcecie go błotem obryzgać, jak powiedział Edward Quinet? Przynajmniej bądźcie logiczni: jeżeli wszystkie religie mają być dobre, to tolerujcież i katoli-

cyzm. Lecz na to powie mi kto może: „Wszystkie religie są dobre — z wyjątkiem katolicyzmu".

Ja wam jednak mówię na to, że jeżeli katolicyzm nawet z waszej tolerancyi wykluczyć chcecie, to jedynie dla tego, że — się go boicie.

Boicie się go zaś dlatego, bo czujecie, że jestto jedyna prawdziwa religia, której nie możecie tak lekceważyć, jak lekceważycie inne.

Zdaje mi się, że powinno to być dostateczną odpowiedzią, lecz jeszcze zastanówmy się nad tem cokolwiek.

Twierdzenie, że wszystkie religie są dobre, nie tylko sprzeciwia się rozumowi, ale także moralności ludów i czci Boga.

Sprzeciwia się rozumowi, gdyż jedna religia zaprzecza temu, co głosi druga, — i znieważa to, co druga uwielbia.

Czy moglibyście dać wiarę, że białe jest czarnem? że twierdzenie jest przeczeniem, że woda i ogień mogą istnieć wspólnie? A jakże według was — i chrześcianin, który czci Jezusa jako Boga-człowieka i muzułmanin, który Go zaledwie uważa za proroka, a nawet i żyd, który Go ma za oszusta i kłamcę — mogą wszyscy mieć słuszność? Wyznawać więc, że wszystkie religie są dobre, jestto wyznawać największą utopię pod słońcem, gdyż jak Bóg jest jeden tak i prawdziwa religia może być tylko jedna i jedyna.

Badając, także znajdziecie wszędzie związek między religią ludów, a ich historyą. — Na północy znajdziecie Germanów i Skandynawów wytwarzających bóstwo z cechami najbardziej okrutnemi, to też i oni sami pełnią cnoty surowe, które stanowią dziwną mieszaninę barbarzyństwa i cywilizacyi, podobnie jak i ich Walhalla.

U Rzymian wszystkie występki są zebrane w ich Panteonie, i ani cyniczny styl Swetoniusza, ani surowe pióro Tacyta nie mogą opowiedzieć brzydoty zepsucia.

A teraz przypatrzcie się Wschodowi. — Buddyzm ze swoją niemoralną mitologią, i swoim czczym panteizmem przelał w ludy Indyi ową fatalną gnuśność, Mahometanizm zaś, przyobiecując swoim wyznawcom wieczny harem, sprawił, że gdziekolwiek się ta religia pokaże, wstyd i niewinność znika, podobnie jak pod kopytami rumaka Alarykowego wysychała trawa.

Zwyczaje są dokładnym odblaskiem wiary, i cała cywilizacya wytwarza się na gruncie i wzorze religii. A któż będzie śmiał utrzymywać, że wszystkie cywilizacye są równie dobre? Któż nie zechce uznać jak wielka różnica była między cywilizacyą dawnych Greków i Rzymian, a dzisiejszych Chińczyków i Indyan? Ktoby inaczej utrzymywał, wartoby go wysłać do Hotentotów, gdyż tam dopiero może zobaczyłby różnicę, która zachodzi między ich a naszą cywilizacyą.

W końcu twierdzenie, że wszystkie religie są dobre, jest przeciwne czci Boga.

Przypatrzcie się w Hindostanie wyznawcom Braminizmu rzucającym się pod koła wozu, i fanatycznie dającym się miażdżyć; przypatrzcie się matkom kartagińskim, które po barbarzyńsku duszą własne swoje dzieci na ołtarzu bogów; przypatrzcie się w Koryncie misteryom Dobrej Bogini, których opisywać z tego miejsca niepodobna; spojrzyjcie w Mecce na te ludzkie hekatomby, roznoszące w około siebie zarazę, a we Francyi na Boginię Rozumu, którą jak bezwstydną bachantkę obnoszą w tryumfie.

I te wszystkie ofiary krwi i lubieżności mają być przyjęte przez Boga na Jego cześć i chwałę?

O zaiste, gdyby tak było, wtedy uciekłbym na wysoką górę, albo też ukrył się na pustyni i oburzony zawołałbym do Boga: „Odejdź odemnie, ponieważ nie chcę Boga bez rozumu, bez świętości, i bez sprawiedliwości, Boga, któryby jednakowem okiem patrzał się na występek i cnotę, Boga, któryby jednokową znajdował cześć w niewinnych ofiarach, jak i w przewrotnościach występku!“

Ale też wtedy nie byłoby trzeba uciekać na pustynię, wołając: „Nie chcę widzieć takiego Boga!“ — bo gdyby wszystkie religie były dobre, wtedy Boga nie byłoby wcale! Może jednak tu znowu chciałby ktoś mi powiedzieć: „Nie potrzebnie się trudzisz księże, gdyż my

wcale nie utrzymujemy, by wszystkie religie były dobre; utrzymujemy przeciwnie, że wszystkie są fałszywe, a przeto powinny zniknąć z powierzchni ziemi".

Lecz na to znów ja wam odpowiem: — „Czyliż jest możliwą rzeczą, aby gdziekolwiek fałsz istniał sam przez się? Nie! bo zawsze fałsz każe się domyślać prawdy, od której jest odstępstwem. — Tak w literaturze, tak w umiejętności, tak sztukach pięknych, błąd jest zawsze wypaczeniem prawdy, i każdy fałsz każe się jej domyślać, podobnie jak każda krzywa linia każe się domyślać prostej, od której tylko jest zboczeniem.

Pascal powiedział: „Gdyby nie było religii prawdziwej, byłoby rzeczą wręcz niemożliwą, iżby ludzie mieli sobie stworzyć fałszywą".

I rzeczywiście najlepszym dowodem istnienia religii prawdziwej jest to, że są fałszywe.

Ktokolwiek przyjmuje monetę fałszywą, czyni to, wiedząc, że istnieje prawdziwa.

A zresztą gdzież są początki tej religii? Mówią, że wymyślili ją prawodawcy, aby z niej uczynić podwalinę moralności społecznej. — Ale historya obala to twierdzenie. Zdoła ona wam powiedzieć, kto wynalazł litery, druk, proch, sztuki piękne, ale kto wynalazł religię, na to może odpowiedzieć chyba tylko tem jednem słowem: — Bóg!

Tak więc, moi słuchacze, twierdząc, że wszystkie religie są fałszywe, jesteśmy w największej sprzeczności, z rozumem, z logiką i z historyą. Ale może jeszcze kto chciałby mi powiedzieć: — „Jeżeli religia, którą ksiądz głosisz, ma być jedynie prawdziwa i pochodzić od Boga, to czemuż ten Bóg, jej twórca, pozwala, by inne religie istniały, a nawet przeważały nad nią“.

Moi słuchacze, na to ja wam krótko powiem, iż gdyby Bóg chciał nad naszemi myślami panować samowładnie, bezsprzecznie byłby On monarchą, któremu wszyscy bylibyśmy posłuszni, ale w takim razie, czemże bylibyśmy, jeżeli nie automatami?

I w taki sposób my, którzy mamy odwagę przelać krew naszą za wolność polityczną, czyż nie powinnibyśmy nic uczynić dla tej drugiej wolności daleko świętszej i daleko droższej?

Przeto bracia moi, nie gorszmy się tolerancyą Boga, gdyż tylko dla tego się nią gorszymy, że nie mamy dostatecznego poszanowania dla wolnej woli człowieka, a zarazem nie rozumiemy całej głębokości miłości Bożej i Jego nieskończonej mądrości!

Lecz powie mi kto może jeszcze:

— Z kazania tego wypływają dwa wnioski bardzo smutne, których przyjąć nie możemy:

Pierwszy ten, że wszyscy żyjący poza Kościołem katolickim, będą potępieni, a możnaż przyjąć taką zasadę?!“

Najpierw twierdząc tak, opieramy się na

słowach Chrystusa, który powiedział: „Kto się nie ochrzci z wody i z Ducha św., nie wnijdzie do królestwa niebieskiego". — „Jam jest drogą, prawda i żywotem", — a więc kto nie idzie tą drogą, ten się nie zbawi.

Twarde słowo, ale nie zapominajcie, że Kościół uznaje zarazem dobra intencyą, i czyny spełniane w dobrej wierze; gdyby więc jaka nawrócona poganka zapytała mnie: — „Ach księże, mój ojciec był tak szlachetny, tak dobry i sprawiedliwy, a czy dla tego, że umarł poganinem, mam koniecznie wierzyć, że poszedł do piekła, i nie wolno mi się modlić za niego?" — wtedy, nawet jako kapłan katolicki, odpowiedziałbym jej z całem przeświadczeniem: — „Ufaj córko, módl się, polecaj duszę jego miłosierdziu Bożemu".

Drugim zarzutem, który mi zrobicie może, jest brak tolerancyi, na co wam jednak odpowiem, iż chyba żadne słowo nie było tak dalece nadużywane. Są trzy rodzaje tolerancyi: tolerancya polityczna, tolerancya osobista i tolerancya dogmatyczna.

O tolerancyi politycznej mówić nie chcę z miejsca tego; ale co się tyczy tolerancyi osobistej, to każdy nieuprzedzony przyznać musi, że jest ona właśnie córą Kościoła katolickiego i tylko podłe dusze mogą obwiniać o nietolerancyą naukę Chrystusa. Wszakże Kościół, owa Oblubienica Chrystusa, zamiast ścigać i nienawidzić swoich prześladowców, ma dla

nich tylko miłość macierzyńską, i wyrzeka się zarówno tryumfów jak i ofiar, które prowadzą do krwi rozlewu.

A zresztą na co mówić o tem? czytajcie historyą, a sami przekonacie się o tem najlepiej.

Ale inna rzecz, kiedy chodzi o tolerancyą dogmatyczną. Czyliż możemy na to zezwolić, by na jednym ołtarzu stał Jowisz, Konfuciusz, Mahomet i Jezus Chrystus? To znaczyłoby przecie tyle, co zaprzeczyć wszelkiej religii: nie tolerancya to już, ale hipokryzya!

W Atenach podczas rozruchów karano ludzi, którzy nie przyłączyli się do żadnego stronnictwa, rozumiano bowiem dobrze, iż nie można pozostać obojętnym w rzeczach politycznych. Jakże my więc możemy pozostać zupełnie obojętnymi w rzeczach tysiąckroć ważniejszych?!

Cóż tedy trzeba robić? — zapytacie.

Odpowiem zaraz: oto trzeba uzbroić się w odwagę i walczyć z wszelką tolerancyą dogmatyczną, ale zarazem mieć wewnętrzną siłę potrzebną, by w nas samych tryumfowała tolerancya osobista.

Wstręt do tolerancyi dogmatycznej pozwoli wam objąć prawdę, prawdę całą i zupełną, prawdę, która się nigdy nie poniży, i nie wejdzie w żadne układy z błędem i będzie miała odwagę bronić swoich praw. Zrozumienie zaś dobre tolerancyi osobistej nauczy was miłości, która łączy braci

i która nie odpycha upadłych, ale przeciwnie podaje im rękę, aby powstali.

I dla tego kończąc, zawołajmy z Kościołem:

„Prawda i zawsze Prawda, nigdy Błąd! ale też niemniej: Miłością, zawsze Miłością nawet z przeciwnikami, a nigdy Gwałtem!"

VII.

Źródła niewiary.

Już dziewiętnaście wieków mija, odkąd dwie osobistości znalazły się obok siebie i spojrzały sobie oko w oko; jedna pozbawiona wszelkiej zewnętrznej władzy, ale jaśniejąca potęgą bożą — druga, przedstawicielka potęgi zewnętrznej, ale za to pozbawiona przekonania i woli. Był to Jezus Chrystus i Piłat; czyli żywe przeciwstawienie błędu i prawdy, tchórzostwa i energii.

Jezus oddawał świadectwo prawdzie; Piłat głosem drżącym pytał:

— „Co jest prawda?" i nie czekając odpowiedzi, odszedł.

Jezus i Piłat, to uosobienie owego wieku, ale zarazem wszystkich wieków.

Wyznawcy Chrystusa wyznają wiarę, która nam została dana z Nieba; następcy Piłata występują zawsze z wątpliwościami i niedowiarstwem.

Święty Paweł przestrzegał wiernych, prorokując z trwogą, że nastanie czas, w którym

ludzkość zaprze się prawdy. I zdaje się, że ten czas dziś nadszedł. Wzmagająca się niewiara liczy już całe szeregi zwolenników, które — choć nie mogą zniszczyć wiary — starają się przynajmniej osłabić ją w drugich. Oni to wywołują i sprowadzają te burze, których się zawsze lękać trzeba.

I w dawnych stuleciach spotykać można było zaślepieńców, twierdzących, że Bóg nie istnieje, ale dziś jakże wzrosła ich liczba!

Nie wyznając żadnej religii, chcą w niej widzieć tylko przesąd, tolerowany w epokach nieuctwa przez naszych praojców, który w naszej może istnieć tylko dla umysłów słabych, niezdolnych ani widzieć, ani ocenić umysłowego postępu.

I w jaki-że sposób zażegnać można to zło, które tak nieubłaganie podkopuje ducha w naszym wieku? Jakież są środki przeciwko tej pladze, która wyniszcza rodzinę, ojczyznę i społeczeństwo?

Oto trzeba najpierw obejrzeć i zbadać same źródła niewiary. Postanowiłem to właśnie uczynić przedmiotem dzisiejszego do Was przemówienia.

Jakież są te źródła?

Pierwszem jest p y c h a, ona bowiem najbardziej oddala od Boga, dla którego jesteśmy stworzeni i do którego wszystko powinniśmy odnosić. Od chwili zaś, w której On przysłoni nam Swoją obecność, nie dziw, że tem samem przysłoni nam się i prawda. Aczkol-

wiek nie wszyscy niedowiarkowie grzeszą pychą, lecz tego nie można zaprzeczyć, że mniej byłoby niewiary, gdyby mniej było pychy, bo wszelkie przeczenie rodzi się zwykle z zarozumialstwa.

Wiara domaga się od nas, abyśmy uznawali władzę Boga i Kościoła; pycha przeciwnie, chce mieć własne swoje zdanie, gdyż widzi tylko samą siebie; tym sposobem jakże łatwo znaleźć związek między pychą a bluźnierstwem. Już Pismo św. powiada, że pycha jest pierwszym krokiem do zaparcia się Boga. Biblia także nam opowiada, że pierwsi nasi rodzice upadli, jedynie dla tego, że chcieli się zrównać z Bogiem. Ewangelia zaś głosi, że tajemnice zakryte przed wyniosłymi, objawione będą maluczkim.

Jest więc dowiedzione, że pycha bywa zawsze pierwszą przyczyną buntu przeciwko wierze. Jeden z filozofów francuskich powiedział:

— „Rozumienie jest kamieniem probierczym wierzenia, zarozumiała jednakże chęć zrozumienia wszystkiego, wyradza się w zawrotną pychę ducha, której powinny się wystrzegać wyższe umysły“.

A Juliusz Simon pisał: — „Tylko małe i nędzne duchy podlegają urojeniu, że rozumieją i pojmują wszystko“.

P r ó ż n o ś ć, owa gorączka odznaczenia się, jest drugim zasadniczym rodzajem pychy.

Ileż to ludzi, dla których jest rzeczą nie-

znośną robić to, co robią inni, bo zdaje się im, że ich to upokarza i poniża. Mają się za wyższych nad całe otoczenie i dla tego też lekceważą to wszystko, co drudzy uwielbiają. Tacy stoją wyprostowani wtedy, gdy drudzy padają na kolana; żartują, gdy drudzy się modlą, jednem słowem, chcą koniecznie odróżnić się od tłumu, i okazać swą wyższość nad nim; nie uznają więc wszystkiego, co ów tłum uważa za świętość. Trawieni tą wewnętrzną żądzą pychy, byliby gotowi stworzyć nową jaką religią, którą jednak równie prędkoby opuścili, widząc, że ją drudzy przyjmują. Jednem słowem wpadają oni w błąd dla tego jedynie, aby się odznaczyć i nie być podobnymi do drugich; lecz są to przeważnie tylko głupcy, a nie uczeni; są to nierozumni tworzyciele nowych utopii, a nie badacze prawdy.

O nich to wyraża się Paweł św., gdy powiada, że:

— „Nierozumny bluźni temu, czego nie rozumie".

Innem źródłem niewiary jest nieświadomość — ignorancya.

Nie mam ja tu na myśli biednego rzemieślnika, który — chociaż najzręczniejszy w swojej sztuce — wiadomości swoje o religii czerpie w jakimś dzienniku podejrzanej wartości i powtarza różne wymysły nierozumiejąc ich nawet. Nie mam tu równie na myśli owego młodzieniaszka, co ledwie poznał pierwsze zasady gramatyki, arytmetyki, fizyki, a już mu się

zdaje, że może ex professo dysputować nad najzawilszymi dogmatami religii, jak gdyby był drugim Newtonem albo Pascalem.

Nie zwracam także słów moich i do tych pań, które chcą udawać bezwyznaniowe, chociaż w życiu swojem nic innego nie przeczytały, prócz dzienników i romansów. Toć wszyscy oni zasługują raczej na śmiech, niż na gniew, i mimowoli miałoby się ochotę powiedzieć im słowami Pascala: „Weźmijcie przynajmniej trochę rozumu".

Otóż ja pozostawiwszy tamtych wszystkich na boku, chciałbym rozmówić się z panami profesorami i z prawdziwymi uczonymi kochającymi naukę; i ich to pytam:

— „Cóż panowie o tej religii wiecie — wy którzy ją tak prześladujecie i tak poniżacie? A może wy jej nie znacie?"

Już dziewiętnaście wieków upływa od kąd została nam objawiona i przez dziewiętnaście wieków odpiera zwycięzko wszystkie wydane jej walki, a sama wiecznie młoda i świeża, patrzy na gruzy tylu monarchii, tylu republik i cesarstw. Niechże więc ci profesorowie, którym się zdaje, że wiedzą wszystko, — dadzą mi odpowiedź i wytłomaczą tę zagadkę. Czemże potrafią mi wyjaśnić, że wszystkie proroctwa, spełniły się co do joty, i dotąd się spełniają? A jeżeli Jezusa mają za fanatyka lub oszusta — to jakimże sposobem wytłomaczą mi czystość przecudną Jego moralności i boskość Jego nauki? W jaki sposób

mi wyjaśnią istotę cudów zdziałanych przez Jezusa, których nie mogli zaprzeczyć ani bluźniercy żydzi, ani sami poganie?

W jakiż sposób wytłomaczą mi, że dwunastu nędznych rybaków zdołało w najbardziej zepsutym wieku zyskać tylu zwolenników dla Chrystusa i dla Jego tak surowej nauki? Czem wyjaśnią mi trwanie Chrześciaństwa i Kościoła mimo tak silnej i ciągle przeciwko nim prowadzonej walki? Jak wytłomaczą mi, że herkulesowe zaiste wysiłki niezliczonych filozofów i tyranów nie mogły obalić budynku wzniesionego przez ubogiego cieślę i przez dwunastu rybaków z Galilei? A dalej, czem wytłomaczyć, że ta religia niesie pochodnię cywilizacyi, i gdziekolwiek się posunie, wszędzie przed nią pierzcha barbarzyństwo?

Lecz oni jej nie znają, i nieomal umyślnie ją tłumią, aby mieć przeciwko czemu wojować. Już Augustyn św. napisał, że czasem wytwarzamy sobie jakieś przywidzenie, a później z niem walczymy. Są tacy nawet i między uczonymi, którzy o religii nic więcej nie wiedzą nad kilka zdań wyjętych z katechizmu dla dzieci, a potem albo wcale nią się nie zajmują, lub też — co gorsza — studyują ją w książkach, wprost jej się sprzeciwiających.

Pewien podróżny napotkał w wagonie damę, która się przechwalała z niewiary i bezwyznaniowości. Wtedy on zapytał ją: — „Czy też pani studyowała gruntownie religią?“

„Tak jest, panie — odpowiedziała —

przestudyowałam wszystkich encyklopedystów, wszystkie pisma Voltaira, Diderota i d'Alemberta".

— „A Bossueta, Wissemana, Gratrego, Dupanloup, Didona czytała pani?"

— „Ja?! czytać takie książki?! — nigdy!"

— „W takim razie wybaczy mi pani, ale muszę powiedzieć, że ponieważ jej wykształcenie jest bardzo jednostronne, nie mogę przeto mieć jej za niewierzącą, ale po prostu za ignorantkę".

Szorstkie słowo, a jednak prawdziwe. Nie można zaprzeczyć, że między niedowiarkami zdarzają się uczeni, którzy mają prawo do tej nazwy, odznaczywszy się w naukach świeckich; ale podczas kiedy ich zdolności rozwijały się właśnie w tym jednym kierunku, pojęcia ich religijne, albo pozostały zupełnie nierozwinięte, i — jak powiedziałem — zasadzały się na maksymach z katechizmu dla dzieci, albo — co gorzej — wypaczyły się na pismach przewrotnych i wprost religii przeciwnych. I w ten to sposób nieświadomość wytwarza owe paradoksy tem jaskrawsze, im mniej mają podstaw rozumowych. Jeżeli ktoś n. p. niezna zasad chemii, to nigdy nie będzie o niej rozprawiał; jeżeli historya nie jest mu dobrze znaną, to będzie nawet unikał tego przedmiotu w rozmowie; jedna tylko religia stanowi pod tym względem wyjątek. Może zauważyliście, że prawdziwy uczony zawsze bardzo oględnie wyraża się o religii, a tymczasem nieuk jest

nadzwyczaj skory i pochopny do wydawania sądów tem zuchwalszych, im jego wiadomości są mniejsze. Gdy się go słyszy mówiącego, trzebaby mianem obskurantyzmu i zabobonu nazwać Kościół, jego doktorów i świętych. Wszystko to powinno się uniżyć przed jego osobistością i przed jego rozumem. W parze z nieuctwem chodzi zwykle także tak zwana połowiczna nauka, która jest jeszcze niebezpieczniejsza, ponieważ ci półuczeni, liznąwszy zaledwie trochę wiedzy, chcą świat cały wywracać do góry nogami, i zdaje im się, że mogą wyrokować o wszystkiem.

Dotąd zastanawialiśmy się nad powodami niewiary duchowymi; lecz są jeszcze, inne daleko niebezpieczniejsze, bo moralne.

Ileż to razy udaje nam się przekonać rozum, i przywieść go do uznania własnych błędów, gdy przeciwnie słabość woli i zepsucie serca stawia nam przeszkody prawie niezwalczone. Naprzód zastanówmy się nad słabością woli, którą niewiara wytwarza przez bojaźń sądów ludzkich. Wiadomo, że niewiara obrzuca szyderstwem i religią i wszystkich tych, którzy ją wyznają; a chociaż głośno mówi o tolerancyi i wolności, chciałaby jednak wydrzeć gwałtem też religię z serc naszych.

Możemy powiedzieć ze starym Tobiaszem, o którym wspomina Pismo św.: — „Jakże trudno jest zachować wiarę w Boga, kiedy wszyscy padają na kolana przed Baalem". Szczególnie żal mi naszej biednej młodzieży,

bo na jakież to pokusy nie jest wystawiona?! Widzi wyśmianą wiarę, słyszy, jak obłudnikami nazywają tych, którzy ją praktykują. I gdzież biedny młodzieniec ma zaczerpnąć potrzebnej energii, ażeby nie zaprzeć się, pomimo wszystko, swych religijnych przekonań. To też bardzo często, chociaż w głębi duszy posiada on jeszcze wiarę, to jednak zabraknie mu odwagi do wyznania jej przez obawę sądów ludzkich.

Możnaż się dziwić tak bardzo młodzieży, kiedy jeden z filozofów na łożu śmiertelnym wyznał, że tylko przez wzgląd ludzki i żądzę popularności, głosił w swych pismach niewiarę.

A ileż to podobnych przykładów naliczyćby można!

A jednak — o mój Boże! cóż to za nierozsądek poświęcać całą wieczność i sumienie swoje obciążać dla tak marnego powodu, jak obawa przed sądem ludzkim.

A zresztą w naszych czasach, gdy się tak wiele krzyczy o wolności, gdy wszyscy tak powstają na despotyzm, czyż my tylko mamy dać się zawojować -- my, którzy wyznajemy wiarę naszych matek? O nie! niechże raz odwaga w nas weźmie górę, potargajmy krępujące nas więzy, miejmy energią wyznania swych przekonań, a sama opinia ludzka uniży się przed nami i będzie musiała nas uszanować.

Lecz chociaż tyrania ludzkich sądów jest potężna, to jednak nie pochłaniałaby ona tyle ofiar, gdyby nie miała za wspólniczkę namiętności.

Surowość-to nauki, głoszonej przez Kościół, jest owem straszydłem, które ludzi oddala od naszej religii. — „Usuńcie Dekalog, a Credo powtórzymy razem z wami“ — powiedział pewien nieprzyjaciel wiary.

I rzeczywiście nie ma cnoty, do której nie zachęcałaby nasza religia, jak nie ma występku, któregoby nie piętnowała.

Mówi ona rzeczywiście o surowości, o umartwieniu, o krzyżach, a w nadgrodę za to wszystko przyrzeka jedynie szczęście wieczne.

Tak jest panowie — „durus est hic sermo“: Twarde jest to słowo. To też mówią nam: — „Jesteście nazbyt surowi, bądźcie cokolwiek pobłażliwsi, a jeżeli Kościół przyobieca niebo także dla pysznych, dla rozpustników, dla skąpców, dla ciemiężycieli ludów, to wtedy nie będzie niedowiarków na świecie“.

Ale Kościół odpowiada na te słowa: — „Prawda zawsze jest nieugięta i podobnie jak Bóg, nie zmienia się nigdy. Niech cały świat runie, a religia nie wykreśli jednego słowa ze swego Dekalogu, ani ze swego Credo: trzeba być albo chrześcianinem według Ewangelii, albo wyrzec się wszystkiego“.

To też kto nie chce poddać się surowej nauce Chrystusa, zwraca się do filozofii nowoczesnej, która ma bardzo wygodną moralność, pozwalającą na zaspakajanie wszystkich namiętności.

Przypatrzcie się temu człowiekowi oddanemu zmysłom; dla niego nie istnieje umiar-

kowanie i skromność; brzuch jest jego ideałem, i pędzi życie wśród lubieżnych orgii, w towarzystwie godnych siebie kompanów. Czyż nie jest rzeczą jasną, że będzie wygadywał na religią, która potępia jego występki?

Przypatrzcie się tamtej damie. Stara się ona jedynie o wielbicieli i o niecne przyjemności. Dla niej obowiązek nie istnieje: głucha jest na głos Boga i Kościoła, tłomacząc się może i sama przed sobą tem, że ta wiara, która jej wyrzuca wszystkie jej nierządy, jest zabobonem tylko, nad który ona czuje się wyższą.

Albo znów ten skąpiec. Nędzarz wzywa jego litości w imię Jezusa, lecz sknera mu odpowie: — „Ja w to nie wierzę; moje zasady nie nakazują mi wcale miłosierdzia". A jednak zbogacił się on srogą krzywdą ludzką, może lichwą wdowy i sieroty odzierał i środkami nieuczciwymi — a jednak wymykającymi się z pod kodeksu — napychał swój worek. Napróżno biedni chcą go zmiękczyć łzami; zasłania on się, jakby puklerzem, niewiarą, ponieważ wie, że religia nakazywałaby mu zadośćuczynienie i miłosierdzie.

Lecz nie skończyłbym nigdy, gdybym chciał przechodzić wszystkie namiętności, które się kryją pod maską niewiary. Wszelako jest jedna, stokroć nikczemniejsza od wszystkich — n i e c z y s t o ś ć.

Już Paweł św. pisał: „Człowiek cielesny nie widzi rzeczy duchowych, jak ślepy nie widzi światła niebios".

„Nie byłbym został encyklopedystą, gdybym nie był zepsuty“ powiedział sam o sobie sławny pewien człowiek.

„Nie chcą zrozumieć, aby nie musieć dobrze działać“ mówi poeta, a Paweł św. na innem miejscu powiada: „Utracili wiarę, albowiem nie chcieli słuchać sumienia i woleli pójść za głosem swych namiętności“.

Nawet sam Rousseau powiedział: „Pokażcie mi człowieka, któryby żył w ten sposób, jakgdyby chciał, iżby Ewangelia była prawdą, a on pewnie uwierzy w Ewangelią“.

Nie będę rozwodził się dłużej nad przyczynami niewiary, a szczególniej nad ostatnią, gdyż to mogłoby mnie za daleko zaprowadzić: ale zwrócę wam uwagę na to jedno, co będzie zarazem najlepszym dowodem wyższości katolicyzmu nad niewiarą — to jest na śmierć. Czyż widziano kiedykolwiek katolika, by się wyrzekał wiary w godzinę śmierci? A przeciwnie, wieluż to niedowiarków Chrystusa wzywało bielejącemi wargami i uwielbiało Tego, któremu niegdyś bluźnili.

Jakież stąd wnioski? Naprzód miejmy zawsze nadzieję w Królestwo Boże, a skoro dotąd żadne wysiłki niewiary nie obaliły Kościoła, to go i w przyszłości nie obalą; chmury się rozejdą, a słońce pozostanie zawsze niezmienne.

Powiedział Lacordaire, że czasem nie jest złą wskazówką zaciemnienie dusz najwznioś-

lejszych, bo wtedy sam Bóg się przybliża, i zostawia sobie chwałę i zasługę nawrócenia.

Podobnie jak z jednostkami, dzieje się i z narodami całymi. Prawda czasem nagle zajaśnieje w całym swoim blasku, a błąd przepada w otchłaniach. Wtedy to zwykle nastaje chwila stanowcza dla przeznaczeń jakiegoś ludu, gdyż wtedy musi on już koniecznie wybierać: albo wszystkiemu wierzyć, albo wszystkiemu zaprzeczyć; albo z błędem zapaść się w zniszczenie, albo z prawdą święcić tryumf.

Przeszłość jest najlepszem świadectwem dla przyszłości; ale żeby nadzieja nasza nie była bezpłodna, trzeba wzrok podnieść do Nieba, bo człowiek bez pomocy Boskiej nie wystarczy nigdy sam sobie. Człowiek wprawdzie pracuje, lecz Bóg daje pomoc, Bóg wierzącemu daje prawdę, Bóg nieustannie puka do serca niewiernego i sposobami łagodnymi a jednak potężnymi stara się otworzyć to serce przed światłem prawdy, podobnie jak rozwiera kielichy kwiatów, aby mogły przyjąć w siebie zbawcze promienie słońca.

Nędze ludzkie ustępują przed modlitwą; ona oddaje nam w posiadanie skarby niebios.

Dla tego łączcie zawsze modlitwę z nadzieją!

Lecz to jeszcze nie wszystko. Powinniśmy być stróżami zazdrosnymi, obrońcami odważnymi, apostołami dzielnymi wiary naszej. Nie dość osobiście być pobożnym, trzeba

jeszcze współdziałać czynem i głosić wiarę przykładem.

Trzeba chrześcianinem być nietylko z nazwiska, ale i z czynów; trzeba trwać w tem ciągle, aż do śmierci, a wtedy nikt nie zdoła nam zarzucić, że nasza wiara była martwa — i bez uczynków.

Przykład ma wymowę najbardziej przekonywuiacą. — „Ojcze mój, — mówiła raz do misyonarza kobieta, — mąż mój jest niedowiarkiem, cóż mam począć, aby się nawrócił?“ On zaś odpowiedział jej na to: — „Proś Boga z ufnością, znoś z cierpliwością, bądź zawsze dobra, łagodna, przyjemna, niech twój mąż nie ma nigdy żadnej przykrości z tobą, a wtedy będzie on musiał zapytać samego siebie: Gdzie ona czerpie siłę, ażeby taką być jaką jest — i nie będzie mógł nie przyznać, że ta siła musi być tobie udzielona przez tego Jezusa, którego uwielbiasz; aż i sam skończy również na uwielbianiu Go z tobą“.

Po kilku tygodniach kobieta wróciła i pełna radości i powiada: — „Ojcze, mówiłeś prawdę, mąż mój nawrócił się i dziś daleko jest lepszy odemnie“.

Tak, bracia moi, łączmy dobry przykład z gorącą modlitwą o nawrócenie grzeszników. Okazujmy się względem nich zawsze dobrymi, łagodnymi, kochającymi, a wtedy będą musieli zapytać, kto w nas wpaja te cnoty? — Religia. Wówczas nawrócą się i oni.

O mój Boże! Daj ojczyźnie mojej tylu

gorliwych katolików, żeby mogli zaprowadzić na Twoje łono wszystkich zbłąkanych braci; zostań z nami i z nimi; objaw się nam, jak się objawiłeś uczniom w Emaus, których przyćmiony wzrok rozjaśnił się nagle, gdy łamałeś z nimi Chleb Żywota, ową wzniosłą tajemnicę Swojej miłości.

I dzisiaj ciemności ogarniają ziemię, więc okaż się, o Słońce sprawiedliwości, prawdy i miłości — i spraw, aby nikt nie mógł uciec od Twoich dobroczynnych promieni!

VIII.

Rodzina i Religia.

Jest w ludzkości rzecz jedna, która niezaprzeczenie jest jej najdroższa, najsłodsza, i najwięcej przemawia do serca, a tą jest — rodzina. To potęga ożywiająca całą budowlę społeczną, to niejako wynik tego wszystkiego, co serce człowieka wytworzyć zdołało. Z rodziny wypływa porządek, wielkość i pomyślność ojczyzny. Niesłuszne jest twierdzenie, że obrońcy ojczyzny wyrabiają się w koszarach i na polach bitwy, gdyż pierwsze wychowanie odbierają oni na łonie rodziny.

Tam-to człowiek dowiaduje się najpierwej o swoich obowiązkach obywatelskich, tam czerpie siłę do ich spełnienia. I na cóż przydałyby się wszystkie wojskowe mustry i ćwiczenia, gdyby rodziny wydawały samych niedołęgów, i dostarczały nikczemnych tchórzów? Byliby to zdrajcy, ale nie obrońcy ojczyzny.

Dzisiaj więc pomówię z wami o rodzinie. Niedawno udowodniłem, że człowiek żyć nie może bez religii; dzisiaj chciałbym wam to

samo udowodnić o rodzinie, o tem ognisku, do którego się odnoszą najświętsze i najdroższe tradycye człowieka.

„Życie rodzinne musi mieć koniecznie za fundament religię; i gdybyśmy chcieli budować rodzinę na innej podwalinie, musielibyśmy sfałszować podstawę tej instytucyi najpotrzebniejszej ze wszystkich, gdyż rodzina bez religii przedstawia daleko jeszcze smutniejszy widok, niźli człowiek bez Boga!

Rodzina ma dwie strony: ludzką i Boską. Strona ludzka rodziny tworzy się ze wspólności woli mężczyzny i kobiety. Osobne prawa określają warunki i obowiązki małżeństwa, a władza publiczna prawnym swoim udziałem zatwierdza ten związek.

Strona Boska rodziny to węzeł ów moralny, który z podwójnego życia robi jedno, i w Bożej-to woli istnieje ów pierwiastek określający stosunki między ojcem, matką i dziećmi, ponieważ Bóg, zaraz na początku stworzenia, pobłogosławił związek między mężczyzną a kobietą.

Pismo św. opowiada nam, że Bóg wyprowadzając z nicości świat cały, i stworzywszy człowieka jako dzieł swoich koronę, powiedział: „Nie dobrze jest być człowiekowi samemu, dajmy mu pomoc“. Wtedy to dał Adamowi towarzyszkę a ten zawołał: „Oto jest kość z kości mojej, oto jest ciało z ciała mojego“. I Bóg pobłogosławił ten związek, który miał stać się źródłem ludzkości, bo dzięki niemu

człowiek dawał życie, które odebrał od Boga, istotom sobie podobnym.

Oto, jak nam Stary Testament opisuje początki rodziny.

Do utworzenia jej Bóg dał człowiekowi zmysły, które stanowią najniższą stronę człowieka

Przecież i zwierzęta mają zmysły, a jednak nie wydały rodziny; bo jedynie człowiek w rodzinie na potomstwo swoje przelewa życie nie tylko materyalne, ale także i duchowe, to jest swoje myśli i swoje cnoty. Trzeba tedy koniecznie wznieść się wyżej, chcąc szukać fundamentu tej Boskiej instytucyi.

Znajdziemyż go może w rozumie? Rozum to gwiazda, która chce koniecznie błyszczeć — on wzdryga się przed jednoczeniem się z kimkolwiek i dąży koniecznie do samoistności, a tem samem nie będzie nigdy spójnią dostatecznie trwałą.

Interes i przyjemność są niestety dzisiaj jedynemi sprężynami prowadzącemi do utworzenia rodziny. Małżeństwo stało się dziś kontraktem, handlem. Dziś w kobiecie nie ceni się jej cnót, lecz jej akcye bankowe, lub listy zastawne; dziś żeni się mało kto z kobietą, ale z jej posagiem.

Oprócz tego przyjęliśmy zgubną teoryę, która głosi, że możemy się wyłamywać z pod obowiązków małżeńskich i przyjmować pewien rodzaj obłudnej poligamii, bo nie czem innem zawsze jest rozwód. W ten sposób owa

zgubna teorya podkopuje przyszłość dzieci, niweczy rodzinę i prowadzi ojczyznę do upadku. Lecz sama ta teorya, która korzyść i rozkosz zmysłową czyni fundamentem rodziny, dowodzi, że wszystkie te nędzne sprężyny nie mogły istnieć w myśli Bożej przy ustanowieniu tej instytucyi.

Bóg oparł ją na czemś o wiele czystszem, o wiele wznioślejszem: oparł ją na sercu, na tej potrzebie kochania, która sprawia, że dobrowolnie chcemy się oddać i nadto jeszcze oddać bezpowrotnie.

Zdawałoby się, że rodzina założona na tak wzniosłej podstawie, powinna być szczęśliwa, a jednak historya uczy nas, że bez religii serce nie jest bynajmniej dostateczną rękojmią, ponieważ brak mu stałości, potrzebnej do utrwalenia rodziny. Serce powie nam wprawdzie: kochaj! — ale niestety, nie nakaże nam kochać zawsze jednego i tego samego przedmiotu.

Widząc to, już samo prawo chce zabezpieczyć serce ludzkie przed jego niestałością, ale prawo jest pod tym względem nieudolne; i dla tego właśnie nasi niebaczni prawodawcy tolerują poligamię: rozwód.

Trzeba koniecznie wznieść się wyżej, wyżej, aż do samego ołtarza, aby utworzyć i uświęcić rodzinę.

Wszystkie fałszywe religie były też i niedostateczne i ciągle musiały czynić ustępstwa za ustępstwami, gdyż Bóg chciał dozwolić jednej tylko Swojej prawdziwej religii, ażeby

się stała podwaliną zacnej, chrześcijańskiej rodziny.

W epoce naszej chcą zaprzeczać doświadczeniu opartemu na historycznych faktach i wyrzucić religię z rodziny.

Nieszczęśliwi szaleńcy! Budować rodzinę bez religii i bez Boga!? Gdziekolwiek spojrzymy w około siebie, wszędzie ogniska domowe okryte smutkiem — a dla czego? Oto dla tego, że zerwały związek, który je łączył z ołtarzem. Bo i cóż wam pozostanie, gdy wydalicie Boga i religię z rodziny? — „Pozostanie nam serce", odpowiecie może. Tak, serce, ale serce z jego burzami! Trzeba koniecznie religii, aby to serce utrzymać w stałości i poddać prawom zabezpieczającym szczęście w miłości. Bez religii nie może istnieć spokój rodzinny, a godność małżeńska jakże łatwo może być zbrukana.

Lecz ktoś może chciałby mnie jeszcze zapytać: — „I dla czegoż-to serce nie może być samo przez się dostateczną podstawą do utworzenia dobrej rodziny?" — Ponieważ prawa rodziny są prawami serca w stosunku do miłości. Przypatrzmy się, jakie jest to prawo serca? Miłość koniecznie musi ciągle wzrastać, bo jeżeli się tylko zatrzyma, wtedy zaraz cofa się i zanika. Dla tego też miłość jest rzeczą tak trudną na tym świecie, albowiem któż może sobie pochlebiać, że w nim ów płomień nigdy nie osłabnie? Ja wiem, że młodość wierzy, iż będzie zawsze jednakowo kochana,

ale trzeba tylko mieć trochę doświadczenia, by wiedzieć, że zupełnie inaczej dzieje się na świecie.

I w cóż się obróciły owe uczucia, które miały być wieczne? Przeszły zaledwie przez serce i zwróciły się w inną stronę, ażeby po jakimś czasie pójść w zapomnienie!

Nie dziw tedy, że człowiek tak często widzi się zawiedzionym, oszukanym w swoich najdroższych uczuciach, które miały trwać wiecznie.

Serce ludzkie, nie mogąc dokazać tego, żeby jego miłość nie tylko nie słabła, ale przeciwnie ciągle się potęgowała — musi udać się o pomoc do Boga i do religii. I rzeczywiście religia zakazując zaraz w początkach zbrukania myśli, i zabraniając nawet spojrzeń nieprawnych, zarazem daje miłości żywioł nigdy nie ginący, wskazuje na czystą piękność duszy widzianej w Bogu, tę piękność, która się nie starzeje, z tem wszystkiem co się starzeje, która nie ginie z tem, co ginie, i którą można zawsze kochać. Religia daje duszom owo boskie uczucie zbliżające je do samego Boga, i stwarza ową miłość, za pomocą której dusze pragną siebie i tęsknią do siebie, podobnie jak pragną i tęsknią do Boga. Miłość pod opieką religii nie ma końca, nie ginie; śmierć sama jest względem niej bezsilna i czas, który niszczy wszystko, nie jest zdolny zniszczyć tego niebiańskiego uczucia.

Czy zastanawialiście się kiedy, moi słu-

chacze, nad widokiem, jaki wam dają św. Augustyn i św. Monika siedzący nad brzegiem morza i złączeni świętą miłością matki i syna? Jakże oni wspólnie wznosili się do Boga wśród nieskończoności swych myśli! To jest owa boska miłość, o której mówimy.

Czy wy rozumiecie ten język, o małżonkowie chrześciańscy? Jeżeli nie rozumiecie, lituję się nad wami, bo widać, że owa boska iskra, która jest w was, tli się bezużytecznie na dnie waszego serca; a wtedy żałuję waszych rodzin, waszych żon i waszych dzieci! Bez tego bowiem niebiańskiego ideału czemże będzie miłość? Widzicie, jak ginie to, co miało pozostać wiecznem, a że nie umieliście uświęcić waszego związku, nie dziw, że spotykają was same zawody.

Łaska religii zamiast padać na dwa serca przepełnione miłością nieskończoną, ma przed sobą tylko dwie pożądliwości zmysłowe, to też w zamian za owe radości niewypowiedziane, osiągacie przesyt i smutek.

A temu wszystkiemu winniście sami: związek wasz nie był chrześcijański, nie był pobłogosławiony przez Boga, przeto nic dziwnego, że i przywiązanie, które wszystko umiła i wszystko przeistacza — zniknęło.

Drugiem prawem, którego spełnianie religia ułatwia nadzwyczaj, to ofiara i poświęcenie. Ktoby widział dzisiejszych młodych, zabierających się tak lekkomyślnie do małżeńskich związków, myślałby może, iż przed nimi

jest życie pełne radości, muzyki, kwiatów, że nie czeka ich najmniejsza przykrość, i najmniejsza chmurka nie zaćmi jasnego ich nieba.

Tymczasem dzieje się inaczej, wkrótce bowiem spotykają się oni z obowiązkami trudnymi do spełnienia, z krzyżami, które będą musieli dźwigać, z przeróżnemi przeszkodami, które będą musieli pokonywać, a wszystko to wymaga ofiary, wymaga poświęcenia. Dobrze powiedział de Bonneau, że małżeństwo, raczej niż kontraktem, jest ofiarą spełnianą zarówno przez mężczyznę jak i przez kobietę. Bo zaiste w tej samej chwili, w której małżonkowie odpowiedzą „tak", już tem samem przysięgają sobie pomoc i obiecują cierpieć jedno dla drugiego. Pod krzyżem, na Kalwaryi powstaje pierwsze zacne małżeństwo. Ale zarazem jest ofiara przeszkodą, o którą rozbija się małżeństwo bez religii. Wprawdzie, gdy mówimy o poświęceniu, serce uderza nam szybciej, czujemy bowiem potrzebę poświęcenia się, ale zwykle kiedy trzeba poświęcenia długiego, ciągłego, chociażby dla najdroższej osoby — zabraknie nam nieraz cierpliwości, poddajemy się zniechęceniu i oto . . . związek rozluźnia się już.

— Jakże to stać się mogło — zapytujemy nieraz sami siebie — jak to przywiązanie tak gorące zamieniło się tak prędko w obojętność i oziębłość, a tych dwoje młodych, którzy mówili o wiecznej miłości, obecnie nie mogą się wzajemnie ścierpieć? Oto dla tego, że nie

umieli się wzajemnie poświęcać; ich związek, co się zdawał tak dobrany zarówno pod względem posagów jak i przywiązania, rozpada się, ponieważ brakło mu religii. Bo nie tak to jest łatwo poświęcać się, jeżeli religia nie doda nam do tego siły. Wprawdzie wydarzyć się może, że dwie istoty złączone wzajemnem przywiązaniem zdołają przez dłuższy czas wytrwać w poświęceniu, ale zawsze są to tylko rzadkie bardzo wyjątki, gdyż trzeba, żeby religia wskazywała nam ów twardy i trudny ideał, odzywając się do chrześcijańskich małżonków: „Dzieci moje, ołtarz to grób i pierwszy obrzęd, który się na nim odprawia to ofiara. Szczęśliwość wasza, o której marzycie jest omyta krwią Chrystusową, a Jego korona cierniowa rzuca cień na wasze wieńce z róż".

Lecz zaledwie ich związek zostanie pobłogosławiony przez Boga, potrafią oni znieść i krzyże i ciernie na drodze życia, bo mają przed sobą zdrój łaski, która im pozwoli wieść żywot święty i niepokalany, a przy domowem ognisku błyszczeć będzie zawsze jedność, harmonia i miłość.

Nie poddawajmy się złudzeniom; religia nauczyła młodych chrześcijan, że owa mniemana szczęśliwość prędko ginie, a miłość nieuświęcona boskim promieniem, więdnie prędzej od kwiatu. I chrześcijańscy małżonkowie zrazumieli dobrze, iż jeśli chcą, aby ich uczucia miały trwalszą podstawę, muszą przed

ołtarzem Boga wypowiedzieć słowa przysięgi, które zatwierdzą Aniołowie w niebie.

Oto, bracia moi, jest prawda; a chociaż trudno przychodzi wam doścignąć owych złudzeń, o których młodość wasza marzyła, chociaż nie możecie się spotkać z owem uczuciem czystem, niesamolubnem, wzniosłem, chociaż przeciwnie, każda chwila waszego życia budzi was z jednego z tych snów, któremiście się łudzili — to gdzież zaczerpniecie siły, jeżeli mimo wszystko chcecie wytrwać i nie upaść na duchu? Czy u ludzi? O nie! gdyż jedynie tylko religia — choć wskaże wam drogę zasianą trudnościami, wyrzeczeniem się i ofiarami — ale doda wam siły do przezwyciężenia tego wszystkiego. Nikt może nie będzie wiedział, ile to was kosztuje, wam jednak wystarczy przeświadczenie, że Bóg widzi życie i ocenia; Bóg, który za wasze łzy wylane u stóp ołtarzy i za wasze modlitwy zleje na was siłę nadprzyrodzoną. I dla tego nieszczęśliwi, tysiąckroć nieszczęśliwi ci, którzy wyrzuciwszy ze społeczeństwa, z serc i ognisk swoich domowych religią, stają później bezsilni i słabi, gdy trzeba się zdobyć na ofiarę i poświęcenie.

Lecz to jeszcze nie wszystko, bo w rodzinie, prócz rodziców, jest jeszcze dziecię, które z jednej strony jest im pociechą, ale z drugiej strony bywa źródłem ciągłego niepokoju i troski. Skoro tylko dziecię ujrzy światło dzienne, z tą samą chwilą wkłada na barki rodziców ciężki obowiązek i wielką odpowiedzialność;

dziecina ta bowiem nietylko jest ciałem, ale przedewszystkiem duszą, a w duszy tej trzeba zaszczepić czystość, wiarę, bojaźń i miłość Boga, trzeba zaszczepić miłość bliźniego; to też nietylko nad ciałem, ale daleko jeszcze bardziej czuwać należy nad duszą. A jeżeli owa dusza niewinna zbłąka się, porwana podmuchem namiętności, to jakichże starań trzeba dołożyć, aby ją sprowadzić na prawą drogę? A jeżeli się będzie opierała, to zamiast gniewów i wymyślań, jakże gorąco trzeba się modlić i błagać Boga o pomoc. Gdybyście wy, szanowni słuchacze, sądzili, że możecie spełnić tak ważne zadania bez religii, to was się zapytam: Odrzucając Boga i nieśmiertelność duszy, uznając, że to dziecię jest tylko materyą, cząstką nicości — w jakiż wy sposób możecie przystąpić do wychowania dziecka waszego? Jeżeli wy, rodzice, nie uznacie duszy nieśmiertelnej w waszych dzieciach, wtedy nic dziwnego, że w dzieciństwie swojem staną się one dla was małymi tyranami, w młodości — waszą zgryzotą, a siwiznę waszą okryją później wstydem i hańbą. Synowie wasi nie będą mieli dla was szacunku, ponieważ nie nauczyliście ich prawa posłuszeństwa i obowiązku. Bo i jakże mogliby oni szanować ojca ziemskiego, jeśli nie szanują i nie kochają Ojca niebieskiego?

Ojciec rodziny pozbawiony religii, zdziera sam ze swej głowy tę aureolę, która nakazywała dzieciom cześć i szacunek.

O jakże wzniosłe były epoki pierwotne, w których ojciec rodziny był równocześnie jej kapłanem, prorokiem i królem! Dziś nie jest on już kapłanem, bo sam się nie modli, nie jest prorokiem, bo sam nie może już rozróżnić rzeczy Boskich od ludzkich, nie jest już królem, ponieważ pozwolił sobie z ręki berło wyrwać, które mu wiara sama przekazała.

Cóż powie swojemu synowi ojciec bezwyznaniowiec? Czy może mówić mu o Bogu, którego, jeśli sam wspomina, to tylko z bluźnierstwem? Będzież mu mówił o Jego prawach, które sam znieważa? O religii, którą i czynem i słowami podeptał? Może wskaże synowi swojemu przyszłość i odwoła się do jego karyery, do konwenansu, do przyzwoitości, do korzyści, które mu przynieść ma dobre wychowanie? Ale wszystkie te samolubne pobudki w proch się rozsypią przed potężniejszym egoizmem, gdy namiętność szalona zakipi w duszy dziecka.

Jeżeli dzisiaj tylu rodziców płacze na swe dzieci, to nie trzeba się wcale temu dziwić, gdyż jest to logiczne następstwo takiego wychowania.

A cóż powiemy o matce, nad którą, jak sądzę, Bóg nie stworzył na ziemi nic czulszego, piękniejszego, bardziej boskiego! Głos jej to symbol miłosierdzia i dla tego to Bóg nieraz przyrównywa Swe serce do serca macierzyńskiego.

Ale trzeba religii, aby to serce macierzyńskie stosownie wykształciła; bo cóż można powiedzieć o matce bez wiary? Jakże ona zdoła ze syna swoich boleści wytworzyć syna Bożego i dziedzica chwały niebieskiej? Któż da jej pomoc w cierpieniach fizycznych i moralnych? Kto będzie jej dźwignią? jej podporą? i kto wpoi w nią cnotę ofiary i poświęcenia, która jedynie może z niej uczynić ideał żony i matki? Pojmuję dobrze, dla czego nieprzyjaciele religii starają się najpierw kobiecie wydrzeć Boga: jeśli między nimi a synem stanie matka, wtedy nie tak prędko potrafią się dobrać do serca syna i z jego duszy wyrugować Boga, którego ta matka czcić i kochać nauczyła. Ale czego już ani pojąć ani zrozumieć nie mogę, to tego, jak mąż odwodzić może swoją żonę od Boga. Czyż dla tego, że ona nie będzie się modlić, stanie się skromniejszą, uleglejszą, kochającą? O nieszczęśliwi, nieszczęśliwi szaleńcy! Sami staracie się naruszyć kolumny świątyni; wiedzcie, że sami też będziecie pogrzebani pod niemi.

O jakże gorzkie łzy będzie w przyszłości wylewała matka, co karmiąc swoje dziecię pokarmem jedynie materyalnym, pozbawia je w zupełności duchowego. Niech wie, że gotuje sobie smutną starość, wyzutą spokoju i radości serca.

Bóg sam zaszczepił w kobiecie religijność i skromność, jeśli jednak zniknie religia, to i skromność pójdzie za nią.

A wtedy co się stanie?

Oto stanie się, że ojcowie przejęci smutkiem i zniechęceniem, pójdą w inne miejsca szukać przyjemności, której potrzebują, i w rozpuście szukać będą zapomnienia zawodów domowych. Wtedy wprawdzie uspokoją się, ale ich obojętność i oziębłość wykopie niezgłębioną przepaść między małżonkami.

Przeto biada kobiecie lekkomyślnej, biada żonie nie mającej zamiłowania w cichych zajęciach domowych, żonie niepracowitej, nieoszczędnej, która i przy szczupłych środkach nie zdoła domu uczynić miłym dla męża. Biada matce, która pożywiwszy i ubrawszy swoje dziecko, mniema, że już wypełniła względem niego wszystkie obowiązki i nie troszcząc się o nic więcej, zostawia je na łasce obojętnych sług, lub też pozwala wpajać w nie Bóg wie jakie zasady zepsutym nauczycielom.

Dlatego to widzimy tak często dzieci nieposłuszne, nie znające szacunku ani miłości dla rodziców, widzące w ognisku domowem jakby ciężkie więzienie, z którego jak najprędzej chciałyby się wyrwać.

Jakież skutki tego wszystkiego? Zanik zupełny ducha rodzinnego, rodzina bowiem pozbawiona swego ideału, którym jest Bóg — musi patrzeć jak powoli rozprzęgają się wszystkie jej węzły, a jedność, zgoda i miłość znikają bezpowrotnie.

Można powiedzieć, że chrześcijańska rodzina prawie już nie istnieje. Bez Boga ojco-

wie, matki i dzieci zbaczają z prostej drogi obowiązku i pozwalają sobie na niebezpieczne wybryki, mające skutki jak najzgubniejsze.

Ojciec ze złymi i zepsutymi kompanami po kawiarniach i piwiarniach wydaje ostatni zarobiony grosz, a przez nikczemne swoje samolubstwo staje niżej dzikiego zwierza; bo zwierzę ostatnim kawałkiem żeru dzieli się ze swą samicą i młodemi, a tymczasem wieluż to jest ojców, którzy ze swego zarobku nic do domu nie przynoszą, a jeszcze nawymyślają i naszturchają biedne, zgłodniałe dzieci. I czyż można się dziwić, że dzieci wobec takiego wychowania, później nie mogą mieć szacunku dla rodziców? Oto czem jest rodzina bez religii.

A z drugiej strony, czyż może być obraz wspanialszy i bardziej wzruszający, nad widok starca, któremu towarzyszy cześć i miłość dwóch pokoleń. Otaczają go pieszczoty dzieci i wnuków, w chorobie wszyscy go pielęgnują, a w chwilach szczęścia rodzinnego wszyscy gromadzą się koło niego.

Ale jeśli ci starzy nie dali Boga za dziedzictwo dzieciom swoim, wtedy z pewnością nie czeka ich nic dobrego: dzieci nie będą się ukrywały z niechęcią dla nich, z obojętnością mówić będą o ich starości, a nawet nieraz dadzą im uczuć, że rodzice żyją za długo. I wtedy to biedni staruszkowie zamiast modlitwy dziękczynnej, wzniesionej przed tron Boga, zaniosą tam z płaczem gorżkie słowa dzieci, które jednak słuszną są dla nich karą.

Oto czem jest rodzina pozbawiona religii!

A teraz przypatrzmy się drugiemu obrazowi, jaki przedstawia rodzina religijna.

Przypatrzcie się tym rodzicom w gronie dzieci. Śmierć bezlitośna wyrwała może z między nich jaką małą istotę i boleść była im znana, ale oni pewni są, że w niebie zobaczą swoją dziecinę i nie zaniedbując obowiązków względem żyjących, myślą przenoszą się także w inne światy i mówią o swoich zmarłych. Całe wychowanie ich potomstwa opiera się na miłości chrześcijańskiej. W pierwszych latach dziecię ich pozostaje w łagodnej karności, która nie dopuszcza do zniewieściałości, ani do wykrzywienia charakteru. Rodzice, o ile się posługują obcą pomocą, to dobrze zważają, aby to ludzie byli zacni, pobożni, zdolni spełnienia tak ważnego posłannictwa. W wieku młodocianym dobry przykład jest najlepszą szkołą, a jedność, miłość i zgoda panująca między rodzicami, może dzieci tylko zachęcić do stworzenia kiedyś nowej rodziny. Każdy poranek łączy ich w modlitwie, ażeby uprosić u Boga błogosławieństwo w pracy, i każdy wieczór — aby Mu podziękować za udzielone łaski.

Cóż może przedstawiać widok bardziej wzruszający nad rodzinę, która się modli, pracuje i kocha. W czasie świąt Wielkanocnych, przy owej anielskiej uczcie nie brakuje z nich żadnego, wszyscy niosą pod swój dach tego Jezusa, który ma być im świadkiem zarówno cierpień jak i uciech.

O jakże ten Jezus musi być zadowolony z pobytu w takim domu, a jakże i ta rodzina musi być szczęśliwa, mając wśród siebie takiego Gościa, który podziela i wszystkie jej zmartwienia i wszystkie jej radości, bo w takiej rodzinie każda radość jest uczciwa, czysta i nie przyniesie nazajutrz gorzkich wyrzutów sumienia.

I w ostatniej chorobie wśród najsroższych cierpień, wiara łagodzi wszystko, i kiedy kapłan wzywa miłosierdzia Bożego nad umierającym, to cała rodzina łączy się z nim w gorącej modlitwie. To też zanim się wszystko tu skończy na ziemi, rodzice wyciągają rękę błogosławiącą i nie mówią: Żegnamy was na zawsze — ale tylko: Do widzenia!

A gdy krzyż stanie na ich grobie, wtedy dzieci i wnuki złączą się jeszcze silniejszym węzłem wspomnień i z tęsknotą myślą o wiecznym spokoju w tej krainie, gdzie szczęśliwa rodzina, która tutaj ufała Bogu, znów się połączy wśród wiekuistego szczęścia i radości.

Sami teraz widzicie, szanowni słuchacze, o ile słodycze tej rodziny są milsze i cenniejsze, niż uciechy tamtej, która żyje bez religii; jej cierpienia nigdy nie będą gorzkie, jak cierpienia rodzin bezbożnych.

Bracia moi, nie wyrzucajcie z rodzin waszych religii, ona bowiem jedynie wytwarza ojców szczęśliwych, przykładne matki, synów cnotliwych i przywiązanych, a zarazem obywateli silnych i pracowitych. Rodziny takie,

utrzymywane w zdrowej karności, tworzą szczęśliwe państwa, wolne równocześnie i od zuchwalstwa i od nikczemności, te państwa, które ze spokojem i pewnością postępują po drodze odwiecznych swoich przeznaczeń.

To też kończąc powiemy, że jedynie tylko religia jest zdolna wytworzyć w rodzinie prawdziwy ideał; póki rodzina będzie się trzymała podstaw założonych przez Jezusa, póki będzie posłuszna prawom, które nam przekazał, póty będzie w niej panował porządek i szczęśliwość prawdziwa, o której pisze św. Augustyn, że nie jest niczem innem jak spokojem ładu.

Takie rodziny wasze staną się — jak wam z całego serca życzę — prawdziwem wyobrażeniem nieba i prawdziwym obrazem raju na ziemi.

IX.

Święty Józef.

Czy nie zastanawialiście się nigdy, moi słuchacze, jak Kościół, owa Oblubienica Chrystusowa, głosi prawdę rozumnie. Każde słowo jego ma słuszną podstawę i zawsze jest zastosowane do okoliczności.

Ludzie lekkomyślni i nie zastanawiający się głębiej, nie widzą tej podstawy, a tem samem nie spostrzegają, że słowa Kościoła, natchnione przez samego Boga, odpowiadają w zupełności wszelkim potrzebom ludów i czasów.

I dla tego to jedynie tacy krótkowidze, mogą nazwać Kościół zacofanym; ale każdy człowiek bystrzejszy, człowiek myślący, który stara się odgadnąć rządy Boskiej Opatrzności, bardzo prędko spostrzeże ową rozumną podstawę i ścisły stosunek, który zachodzi między potrzebami epoki, a rozporządzeniami Kościoła.

Przeciw niedowiarstwu odszczepieńców i bezwyznaniowców, którzy z taką zaciekłością walczą przeciwko religii, jakiż środek podaje

Kościół? Oto słodkie nabożeństwo do Serca Jezusowego, nabożeństwo, którego celem właśnie jest ożywić wiarę. Kiedy zaś czasy nasze odrzucają naukę o grzechu pierworodnym i uznają tylko panowanie ciała, wtedy Kościół występuje z ogłoszeniem dogmatu o Niepokalanem Poczęciu. A cóż ogłosi dla najmłodszego społeczeństwa, trawionego gorączką złota, myślącego tylko o zysku i pragnącego jedynie rozkoszy i używania? Oto wskaże mu biednego, pokornego rzemieślnika, św. Józefa. Wyniesie go ponad innych świętych na ołtarzach, pragnąc tym sposobem zachęcić wszystkich do jego czci i naśladowania.

I czyż to nie wydaje się nam bardzo rozumnem i dobrze zastosowanem do potrzeb epoki? Czy w tem nie widzicie mądrego zadosyć uczynienia za winy pokoleń dzisiejszych?

Dlatego to dzisiaj postanowiłem mówić do was o św. Józefie, zastanawiając się, jaką naukę możemy z jego życia dla siebie wyciągnąć.

Jakież są powody złego, które podkopuje dzisiejsze społeczeństwo?

Na pierwszem miejscu pycha, oddalająca nas od Boga, od którego wszystko otrzymawszy, do Niego też wszystko zwracać powinniśmy. A tymczasem cóż dzisiaj panuje powszechnie? Oto uwielbienie samego siebie. Wyniosłe społeczeństwo zdaje się mówić dumnie do Boga: — „Jesteś Panem, a więc i ja chcę panować; jesteś Bogiem, a więc i ja chcę być Bogiem i powiadam, że po za mną Bóg

nie istnieje. Mam usta, więc użyję ich do woli na bluźnierstwa, mam serce, więc je zbrukam jak mi się będzie podobało; mam ciało, więc mu dam użyć wszelkich możliwych rozkoszy".

Człowiek oddzielony od Boga, zaprzeczając tej Istności, która go stworzyła, widzi sam w sobie cel własnego bytu, i zamiast siebie naginać do bliźnich, on wszystkich będzie naginał do siebie; będzie cenił tylko to, co schlebia jego miłości własnej, jego ambicyom, i jego chwale; poświęci wszystko na ołtarzu swojego samolubstwa, ma się za wyższego od wszystkich, i dla wszystkich staje się tyranem. Dlatego to widzimy tyle istot wykolejonych. Wszyscy chcą rządzić i panować nad drugimi, wszyscy rozkazywać a nikt słuchać, to też owa przewrotna ambicya wyradza albo niewolników, albo buntowników.

Drugą przyczyną zła dzisiejszego, jest chciwość, która zawładnęła całym światem: złoto jest owem bożyszczem, któremu się poświęca duszę, serce i sumienie. Chciwość sprowadza frymarki haniebne, bankructwa podstępne, lichwy niegodziwe; ojczyzna, rodzina, honor, wszystko pada na kolana przed tym molochem, który stał się jedynym celem zarówno człowieka prywatnego, jak polityka i ekonomisty; wszędzie tylko złoto, zarobek, majątek! Zarabiać, zyskiwać jak najwięcej, zarabiać w każdym czasie i na wszystkiem, oto co zajmuje i pochłania ludzi, ale nie mów im o cnocie i wierze, bo to nie przynosi procentu.

Innym znowu powodem złego w społeczeństwie — rozpusta.

Związana jest ona ściśle z dumą, więc łatwiej o wiele zwrócić strumień przeciw biegowi, niż w dumnym znaleść czystość.

To społeczeństwo pysznych wyryło na swoich czołach znak zwierzęcości. Lecz nie myślę uszu wam kalać opisem tych bezeceństw, które wszyscy aż zanadto znamy.

Oto przyczyny upadku. Poprawa jest konieczna, a nie może na niczem innem polegać, jak tylko na odmianie obyczajów, bez tego bowiem wszystkie reformy społeczne nie odniosą żadnego skutku.

Dla poprawy obyczajów, Kościół każe nam w szczególniejszy sposób czcić św. Józefa, który ma się stać przykładem zarówno dla jednostki jak dla rodziny i dla całego społeczeństwa.

Chociaż pochodzi z królewskiej rodziny, jest ten Święty ubogim, i zarobek z własnoręcznej pracy, stanowi całe jego mienie. Żyje przy boku niewiasty również jak sam ubogiej, z dziecięciem, które się pozwala nazywać synem rzemieślnika; ale ów rzemieślnik to największy Święty, kobieta to Królowa aniołów, a dziecię owo — to Bóg! Jakaż w tem dla nas nauka. Przypomina ona bogaczom słowa Salomona, który powiedział: „Wszystko jest próżnością prócz miłości Boga, Jemu więc tylko samemu służyć powinniśmy“.

O bogacze, nauczcie się od św. Józefa

pokory wśród wielkości, wyrzeczenia się wśród obfitości, moralnej godności przy wzniosłości serca. On nam powie dalej, że przedewszystkiem trzeba szukać królestwa Bożego, a wszystko inne to tylko przydatek; on nam da przykład, jak trzeba kochać i szanować ubogiego, który jest naszym bratem, nie zaś niewolnikiem, bo sam Bóg nazywa go błogosławionym, a nie nędznym.

A wy, ubodzy, nauczcie się w Nazarecie jak Bóg szanuje ubogiego, ale ubogiego pokornego, nie zaś buntującego się; ubogiego, który kocha i modli się, a nie takiego, który przeklina i knuje spiski.

Nie jest ubogi z Jezusem, kto żywi niechęć do bogatego, z tego jedynie powodu, że bogaty; kto pożąda bogactw i zazdrości ich bliźniemu, ten przestał już być ubogim, a jest przeklęty z powodu swoich grzesznych pożądań. I dla tego wy, ubodzy, chociażbyście się nawet spotkali z oburzającą twardością serca bogacza, nie złożeczcie mu, ale zapatrujcie się na św. Józefa, który zdaje się mówić do was: — „Ubóstwo nie jest bynajmniej hańbą, jak bogactwo nie jest szczęściem. Ja także cierpiałem, cierpienie zaś wywołuje współczucie“.

A dalej, jest to Święty, który ma za znamię i godło lilię; jest to król młodzieńców, i po Maryi Niepokalanej, najczystsze ze stworzeń, jakie tylko wyszły z rąk Boga. O młodzieży! Gdy krew zakipi w was goręcej i namiętności

będą targały wami, wtedy uciekajcie się do św. Józefa. Od niego nauczcie się cenić miłość czystą, nauczcie się zachowywać wstydliwość. On was umocni w walkach, poda pomocną rękę w pokusach, aby później ukoronować was w raju.

Wreszcie jest to Święty prawdziwie pokorny i skromny.

Co zdziałał? Co wypowiadał?

W innych Świętych znajdziecie zawsze coś nadzwyczajnego, wzniosłego, niezwykłego, nawet w ich cnotach, gdy tymczasem u św. Józefa wszystko jest ukryte: nie zostawił on po sobie ani jednego słowa, i chociaż jest stróżem tajemnic nieba i ziemi, nie szuka w niczem swojej chwały. To prosty rzemieślnik z Nazaretu, ukryty i zapewne pogardzany. A przecież Kościół umieszcza go tuż obok Bogarodzicy, ponieważ tenże Bóg wyrzekł słowa, które nie przeminą nigdy: *„Kto się poniża, będzie wywyższon, kto się wywyższa, będzie poniżon“*.

A teraz zastanówmy się, jakie niebezpieczeństwa wypływają z owego wywyższania się.

Najpierwsze jest zewnętrzne, w ubieganiu się za pozorami, ze szkodą rzeczywistości; jest to owa wystawność, owa kłamliwa chęć okazywania się czemś innem, niźli się jest w istocie. Pozornie wszędzie widzimy bogactwo, majątki, uczciwość, honor; podnieśmy

jednak zasłonę, a zobaczymy tylko zgniliznę, i łachmany nędzy materyalnej jak i moralnej.

Nawet sama pobożność jakże często grzeszy dzisiaj z tej strony.

Ileż to praktyk religijnych zaniedbuje się dla tego jedynie, że nie przedstawiają się dość okazale. Cześć św. Józefa jest właśnie reakcyą przeciwko temu zgubnemu pojmowaniu rzeczy. Charakterystycznym rysem świętości Józefa była prostota; i nie byłby ani prawdziwy, ani by nie przemawiał do nas jego drogi obraz, gdyby był pozbawionym tego właśnie przymiotu. Prostota owa ma źródło w jego sercu. Być w zgodzie z sobą samym przez zgodę zewnętrznej swej strony z wewnętrzną; być w zgodzie z Bogiem, przez harmonię czynów z wiarą; być w zgodzie z braćmi przez oddalenie od siebie wszelkiego udawania, i przez łączność w miłości, oto charakterystyka prostoty, której tak świetnym przykładem jest św. Józef. Nie oddalając się ani na krok od swojego pozornie tak nędznego powołania, wzniósł się on na szczyty najwyższe cnoty i doskonałości.

Przed grzechem pierworodnym praca była nagrodą, później stała się karą; jednakże Jezus Chrystus przez Swoje narodzenie się u biednego rzemieślnika, przez Swoje wszystkie trudy i przez zroszenie Swego czoła potem, który był jakby drugą krwią naszego odkupienia — podniósł pracę, nadając jej charakter konieczności i zadosyćuczynienia. Powiedział

On: „Nie ma trudu bez potu — in labore sudor“.

Niestety, moi słuchacze, dzisiaj chcą koniecznie oddzielić te dwa znamiona, które muszą być zawsze połączone z sobą; niektórzy zamiast widzieć w pracy konieczność, chcą w niej widzieć tylko środek dojścia do próżnowania, inni przeciwnie chylą się pod jarzmem pracy jak niewolnicy.

Jeżeli następnie przypatrzycie się uważniej, wtedy zobaczycie, że najważniejszą przyczyną pracy jest chęć zarobku, i to nie w celu zdobycia kawałka chleba dla siebie i rodziny, ale zarobku, w którym się widzi zaspokojenie wszystkich swoich namiętności. Dziś nie mówi się wyrobnikowi: „Pracuj abyś żył“ — ale mówi mu się: „Pracuj, abyś stał się bogatym, abyś mógł używać, rozkoszować i bawić się“. I dla tego to nasz wyrobnik jest tak chciwy zysku, dla tego w duszy jego burzy się zazdrość, a ręka często chwyta się broni.

Przeciwnie Kościół św. daje za przykład biednemu wyrobnikowi Jezusa i Józefa w ich domku Nazareńskim; Jezusa, który mówi do biednego rzemieślnika, ażeby się uczył od Józefa, że jeżeli praca jest ciężarem, od którego Bóg nie chciał nas uwolnić, to jednak ona uszlachetnia nas i zbliża do Niego; Kościół wskazuje biednemu rzemieślnikowi na Jezusa i Józefa i kiedy pracownik zdaje się upadać pod

brzemieniem pracy, niedostatku i ubóstwa, mówi do niego: — „Pociesz się biedny wyrobniku, ponieważ stajesz się podobnym do Jezusa, który jest Bogiem, i do Józefa, który jest największym Świętym“.

Innem złem, wynikającem z tych źródeł — niewiara.

Człowiek jako jednostka może jeszcze z biedą być ateuszem, a mimo tego pozostać uczciwym, ale naród nigdy, bo zawiedziony burzy się i staje się podobnym do dzikiego zwierza. Wszystko co się działo w Rzymie, w epoce poprzedzającej jego upadek, to wszystko dzieje się u nas.

Nie brak nam postępu materyalnego, ani wynalazków, ani nauki, ale brak nam cnoty, i nic tu nie zdziała reforma polityczna, ażebyśmy mogli uniknąć grożącego nam niebezpieczeństwa.

A cnoty brak niestety nietylko ludziom światowym, lecz nawet i u chrześcijan już nie istnieje owa żywa wiara, zdolna wydawać bohaterów, męczenników i świętych.

Wiara nasza jest jakby dla zwyczaju, to też nie chroni nas od pokus.

Jakże ożywić w sobie tę wiarę? Oto czcząc w szczególniejszy sposób tego Świętego, który właśnie odznaczał się wiarą jak najwyższą. Widział on Jezusa małem, słabem dzieciątkiem, a jednak wierzył w Jego Bóstwo.

Pokazuje mu się anioł i mówi: — „Ucie-

kaj zaraz w nocy". Jakże łatwo nasunąć się tutaj mogły różne wątpliwości: czy to prawdziwe widzenie, a w takim razie dla czego niebo nie może nas osłonić? Dla czego żądanie natychmiastowej ucieczki? Ale św. Józef tak nie rozprawia, on wierzy, słucha, i uwielbia. A jakiż to potrzebny przykład dla nas; wszak jeżeli chcemy się zbawić, to posłuchajmy, co mówi Ewangelia święta: „Kto wierzy, zbawion będzie". A więc wtedy tylko możemy mieć nadzieję zbawienia, jeżeli na każdą prawdę, która nam została objawiona, odpowiemy: credo! A więc credo, gdy idzie o bóstwo Chrystusa, credo wobec Sakramentów, credo wobec każdego dogmatu. Wtedy dopiero możemy uznawać św. Józefa za naszego patrona i wzór do naśladowania.

Inne zło tak powszechne dzisiaj, to upadek rodziny, upadek małżeństwa.

Rodzina, która jest podstawą ojczyzny, ma swój fundament w małżeństwie.

A czemże dzisiaj stała się i rodzina i małżeństwo?

Czyż nie widzicie czego brak małżeństwu? Oto przedewszystkiem wzajemnego przywiązania.

Łączą się herby, tytuły, majątki, rody, ale na wzajemne przywiązanie, mało kto zważa, małżeństwo zaś jest po prostu pojmowane jako interes i spekulacya.

Św. Józef przeciwnie zaślubia Maryą ponieważ Jej cnoty zbliżają go do Niej.

Małżeństwom naszym brak zwykle szacunku, który stróżem jest miłości; Kościół zaś powiada nam, że Marya była poddana Józefowi, on znów miał tyle szacunku dla Maryi, że prawie nie śmiał się zbliżyć do tego żywego Ołtarza bożego.

Następnie brak czystości małżeństwom naszym, bo czyliż wśród dzisiejszego społeczeństwa znajdą się związki, o których możnaby powiedzieć to, co pismo święte mówi o małżeństwie Tobiasza?

Kościół tedy przedstawiając nam Świętą Rodzinę, chciałby ożywić w świecie tego ducha czystości.

A duch ofiary i poświęcenia? O jakże go brak w dzisiejszych małżeństwach, a przecież poświęcenie się wzajemne jest może w małżeństwie potrzebniejsze jeszcze od miłości. I znów Kościół daje nam w św. Józefie najdoskonalszy przykład ducha ofiary: nie odstępuje ten Opiekun Maryi i Jezusa, a jego małżeństwo cierni ma więcej, aniżeli róż.

A dalej zastanawiając się nad tem, czego jeszcze niedostaje naszym rodzinom, przyznamy, że brak im powagi i władzy ojcowskiej; a tu właśnie widzimy, że i Marya i Jezus są posłuszni we wszystkiem Józefowi: jest on przykładem wszystkich ojców, ponieważ umie być przedstawicielem Boga w rodzinie. W naszych czasach, gdy niestety samo istnienie Boga podają w wątpliwość, ojciec nie ma odwagi

wymagać tego, czego sam nie praktykuje, więc też zamiast być przedstawicielem Boga, jest przedstawicielem szatana, aż stanie się jego ofiarą w dzieciach złych i zepsutych.

Św. Józef jest i w tem przykładem dla rodziców, że jako stróż wierny czuwa z największą troskliwością nad niebiańską Dzieciną. Jezusowi podoba się jednego dnia zginąć: było to największem zmartwieniem dla św. Józefa, lecz Jezus uczynił to dla próby tylko i dla dania mu sposobności do zasługi w Jego odszukaniu. A dzisiaj jakże to strzeże się dzieci? Czyliż nie pozwala się, ażeby nawet do domowego ogniska wciskały się zgubne książki, dzienniki niemoralne, romanse skandaliczne, lub zepsuci przyjaciele?

Ojcowie dzisiejsi nie są wcale wychowawcami; kształcą dzieci ale nie wychowują; uczą je czytać, ale nie uczą kochać. O to powinni się modlić do św. Józefa, onego wzoru wychowawcy, u którego Jezus raczył uchodzić za syna i ucznia.

W końcu rodzinie brak dzisiaj matki; a jednak jeżeliby się zmieniło serce matek, zmieniłby się i świat cały, gdyż to przecież w jej łonie wytwarza się człowiek.

W dzisiejszych rodzinach nie ma miłości, ponieważ nie mamy przed oczyma, nie mamy w sercu, nie mamy w duszy Jezusa Chrystusa. A przecież On tylko sam, jako Pan rodziny, ma potęgę i możność napełnienia jej pokojem, powagą, ma możność uczynienia rodziców kocha-

jącymi, a dzieci uległemi, najważniejszem przeto zadaniem wychowania powinno być: wyryć w młodych duszach Jezusa, dać Go poznać rozumem, uwielbić sercem, i zachęcić do pójścia za Nim przez wolę.

O ty błogosławiona Rodzino z Nazaretu, opowiadaj nam o tych światłościach, które w Tobie jaśniały i niechaj Twoja niebiańska szkoła, nauczy nas obowiązków naszych i doda siły do ich wypełnienia!

Jest w nas jeszcze jedna rana, na którą zwykle nie zwracamy uwagi; postanowiłem tedy pomówić z wami o tem, to jest o zupełnej nieświadomości cierpienia chrześcijańskiego.

Ażeby dostać się do nieba, musimy koniecznie cierpieć i znosić różne krzyże, a jednak przestrasza nas już samo to słowo: musimy.

Jezus Chrystus chce je nam osłodzić i dla tego mówi: „Błogosławieni którzy cierpią, albowiem ich jest królestwo niebieskie“ — a potem dodaje: „Kto chce iść za mną, niech weźmie krzyż i naśladuje mnie“. — W ten sposób staje On się przewodnikiem naszym i pokazuje nam drogę Swoim przykładem. Ale któż dzisiaj chce słuchać tej nauki?

Jedni podburzeni przez złych doradców przeklinają i lżą swych chlebodawców, utrzymując, że oni są przyczyną ich wszystkich cierpień; drudzy wołają: — „Jeżeli Bóg istnieje, czemu dozwala, abym tyle przenosił!“ A jednak, jakżeby nam się to wszystko

inaczej przedstawiło, gdybyśmy umieli wyrobić w sobie prawdziwe pojęcie o ziemskiem naszem tułactwie, od którego boleść jest nieodłączna. Istnienie, to walka, i sam Rousseau powiedział, że nie można żądać palmy zasługi, jeżeli się nie było w bitwie.

I oto znów św. Józef uczy nas cierpienia, gdyż nikt, prócz Maryi, nie wycierpiał tyle co on. Cierpiał przez tak trudne rozkazy, które niebo spełniać mu kazało, cierpiał, widząc się nieuznanym, poniżanym, a nawet pogardzanym, a w ową Noc Narodzenia, gdy prowadził niebiańską Matkę, — co za boleść, co za cierpienie, że niemógł dać Jej innego schronienia, krom oddalonej stajenki. Znosił potem trudy pielgrzyma, jadł gorzki chleb wygnańca, a jakże później bolał, jak się niepokoił, gdy mały Jezus zginął i była obawa, że Go może już nie odszuka.

Wszystko to nie powinnoż nas przekonywać, że i my także cierpieć musimy, gdyż bez cierpienia nikt jeszcze nie otrzymał wiecznego zbawienia i szczęścia.

Niechże więc przykład św. Józefa umocni nas i pokrzepi. Widząc Jego uległość i poddanie się we wszystkiem woli Bożej, starajmy się choćby w części go naśladować.

W końcu jest jedno jeszcze największe złe, któremu niestety wszyscy podlegać musimy, to śmierć. Była ona zawsze złem wielkiem, ale nigdy do tego stopnia jak dzisiaj; gdyż nigdy nie liczono tyle śmierci nagłych,

nieprzewidzianych i bez pokuty; nigdy również nie było tyle śmierci pogańskich, w których porzuca się życie jak zwierzę; nigdy nie było tyle śmierci bezbożnych, w których nawet ostatnie tchnienie jest zniewagą rzuconą Bogu.

Gdy przeto tak bardzo potrzebujemy patrona dobrej śmierci, Kościół daje nam św. Józefa, którego Bóg wzbogacił niezwykłemi łaskami, a szczególnie łaską śmierci świętej.

I rzeczywiście między Jezusem a Maryą św. Józef umarł najszczęśliwszą śmiercią, jaką tylko wymarzyć sobie można. Przypatrzmy się temu błogosławionemu widokowi: z jednej strony klęczy Marya płacząc i modląc się żarliwie, z drugiej Jezus, jedną ręką podtrzymuje głowę umierającego a drugą pokazuje mu niebo.

— „Idź — mówi mu — o wybrańcze, idź na łono świętych ojców, i bądź im posłańcem szczęśliwej nowiny bliskiego wybawienia. Ale wpierw przyjmij uścisk swojego Jezusa, którego jak ojciec prowadziłeś i jak ojciec kochałeś“.

Uśmiecha się Józef na te słodkie słowa i na ten boski uścisk, a w tym uśmiechu jest jeszcze najpokorniejsze poddanie się woli bożej, jest przyzwolenie na ów rozdział od Jezusa i Maryi tak drogich sercu jego; i z tym niebiańskim uśmiechem opuszcza to życie.

Na widok takiej śmierci wzdychamy, i z głębi duszy wznosimy życzenia: „O gdy-

bym i ja umrzeć mógł śmiercią sprawiedliwego!"

Jest to życzeniem także i mojem; lecz pamiętajmy, że tylko ten, kto się poświęca przez miłość, umrze śmiercią sprawiedliwego.

X.

Marya.

Istnieje dla każdego imię pełne niewysłowionej czystości; wszystko się w nas porusza i drga na dźwięk tego imienia; najdroższe wspomnienia powstają, serce napełnia się uczuciem wzniosłem i świętem, oczy nabrzmiewają łzami.

Cóż to za imię? Sądzę, żeście odgadli, gdyż jest ono dla nas wszystkich równie drogie — to imię matki!

Na całym świecie nie ma nic milszego, nic droższego i wznioślejszego nad matkę. — Przywiązanie matki przewyższa wszystkie inne przywiązania. Dla niej nie istnieją przeszkody, trudności i niebezpieczeństwa; zdolna jest rzucić się w ogień, przebyć ocean, narazić się na grad kul, byle ocalić swoje dziecię.

O czemże myśli cierpiący wojownik, ranny śmiertelnie, lub też podróżnik zabłąkany wśród pustyni?

Jeżeli na szczęście ma silną wiarę w Boga, w Jego rządy opatrznościowe i w nieśmiertelność swojej duszy, wtedy najpierwej zawoła:

— „Przedwieczny Ojcze, zlituj się nademną, wspomóż mnie, i wybaw z tego nieszczęścia!“ — Ale zaraz po tej modlitwie serce doda: — „O! gdyby moja matka była przy mnie! Ale ona nie słyszy moich jęków, nie widzi moich łez, ona daleko! może już nie żyje!“

Chrześcijanin ma jednakże matkę, która nie umiera nigdy, matkę kochającą najbardziej ze wszystkich matek, którą Jezus przekazał nam w godzinie Swojej śmierci. Tą matką jest Marya.

Wtedy stała Ona pod krzyżem jako matka Boleści, ale dzisiaj w raju jaśnieje jako promień jutrzenki — piękna i urocza jak rozkwitający kwiat, jaśniejsza nad gwiazdy. Szata Jej błyszczy świetniej od wszystkich klejnotów, a całe niebo i ziemia śpiewają chórem Jej cześć.

A jednak Jej chwała, Jej tryumf nie przeszkadzają Jej do zwrócenia oczu na nas biednych, do usłyszenia jęków tych, którzy cierpią, i do przyjęcia modłów, które się wznoszą do Jej tronu, i na które odpowiada Ona niebiańskiem spojrzeniem miłości macierzyńskiej. I w tem tkwi powód, dlaczego chwała i przywiązanie do Maryi jest w nas żywe i zawsze gorące; żywe i gorące, aczkolwiek złośliwość ludzi przewrotnych powstaje przeciw temu nawet uczuciu, obrzuca je zniewagą i okrywa pośmiewiskiem.

Pozwólcie, abym dzisiaj wytłomaczył

wam powody czci naszej i naszego nabożeństwa do Maryi; żyjemy bowiem w czasie, w którym nie dość jest kochać, ale trzeba także umieć bronić tego, co się kocha.

I u nas, niestety, cześć dla Maryi ma przeciwników, utrzymujących, że to tylko zabobonne bałwochwalstwo.

A skoro ci przeciwnicy wielbienia Dziewicy Niepokalanej odwołują się do rozumu, będę się przeto starał obalić fałszywe ich rozumowanie; nie wdając się jednak w zawiłe zagadnienia filozoficzne, przemówię tylko do waszego serca.

A Ty, o Panie, przez miłość dla tej Dziewicy, którą chciałeś mieć Matką, otocz mnie Swą opieką w sposób szczególniejszy, daj wymowę moim słowom i spraw, by wryły się głęboko we wszystkich umysłach, jako i we wszystkich sercach, prowadząc za sobą przekonanie woli.

* *
*

Na czem opiera się nasze nabożeństwo, wiara nasza i cześć dla Maryi?

Na Jej godności i na Jej potędze. Na Jej godności, bo któż jest Marya? — Marya jest matką Boga. — To dogmat naszej wiary. — Syn Boży chcąc odkupić ludzkość, raczył przyjąć na siebie doskonałą postać ludzką. I tego ciała, w które chciał się przyodziać, nie stworzyć postanowił, jak przy powstaniu pierwszego człowieka, ale chciał, ażeby ono wytworzyło

się w łonie Dziewicy, jakkolwiek w sposób zupełnie czysty i niezwykły — by można było stwierdzić, że On nie tylko stał się człowiekiem, ale zarazem i bratem naszym.

Nie ma słów w ludzkiej mowie, by wyrazić, jakiej godności dostąpiła ludzka natura, podniesiona do Boga przez takie połączenie, a tem samem nikt nie może pojąć, jaką jest godność kobiety, która Mu była matką — godność Maryi.

Jan Chryzostom mówi: — „Bóg może stworzyć inne światy daleko piękniejsze, inne słońca daleko jaśniejsze, ale chociaż jest Bogiem, nie może stworzyć matki większej nad Swoją Maryą".

Bo zastanówmy się tylko nad godnością Maryi: kobieta, która przez dziewięć miesięcy nosi w swojem łonie Syna Bożego; kobieta, która Go trzyma w swoich objęciach i żywi Go mlekiem swojem, kobieta, którą ten Syn matką nazywa. Tą niewiastą jest Marya, która porodziła Jezusa Chrystusa, Marya matka Boga!!

Czy wam się nie zdaje, że po tem słowie blednie wszystko, cokolwiek możnaby powiedzieć o Maryi? Bo rzeczywiście, cóż możnaby jeszcze o Niej dodać? Że była pełna łaski? Ależ to zupełne oczywiste, jeżeli Bóg sam przeznaczył Ją na matkę dla Syna Swojego. — Że była Niepokalana? Sama logika domaga się tego, ponieważ nie mogła mieć na sobie ani cienia grzechu Ta, która była miesz-

kaniem samego Boga. Czy powiemy, że niebieskie potęgi uwielbiają swoją Królową? że tron Jej po tronie Boga najwspanialszy? Ależ to wszystko jest rzeczą zupełnie prostą, skoro Marya jest Matką Króla Niebios, który panuje nad wszystkiemi gwiazdami, rozkazuje wszystkim niebieskim legionom.

A teraz jeszcze zważmy, że Marya jest więcej matką Boga, niżeli każda inna matka względem swoich dzieci, która macierzyństwo dzielić musi z ojcem, kiedy Marya, począwszy z Ducha św., swojem świętem macierzyństwem nie dzieli się z nikim, gdyż Syn Jej nie uznaje żadnego innego ziemskiego pochodzenia nad Maryą. Tem samem Jezus jest więcej Jej Synem, niżeli to którykolwiek inny syn powiedzieć może o swojej matce.

Może kto zarzuciłby, że Marya nie dała przecież istoty Boskiej Jezusowi Chrystusowi; ależ inne matki nie dają także swym dzieciom nic więcej nad samo ciało.

Tak! Marya, chociaż dała temuż Synowi tylko postać ludzką, jest prawdziwą, niezaprzeczoną Matką Bożą, Matką Jezusa Chrystusa, Boga-Człowieka, bo Istota ludzka Chrystusa jest ściśle złączona z Istotą Boską, i podobnie, jak dusza i ciało tworzą tylko jednę ludzką istotę, tak człowieczeństwo i Bóstwo zlewają się w jedno w Chrystusie, a tem samem zupełnie słusznie i sprawiedliwie nazwać można Maryą Matką Boga.

Z tego powodu należy się Jej od nas cześć

najwyższa, i dla tego niedorzeczne są wszystkie zapędy przeciwników, którzy nam zarzucają bałwochwalstwo, że „ubóstwiamy“ Maryą.

To kłamstwo! My Jej nie ubóstwiamy, wiedząc, że należy się to jedynie samemu Bogu, ale Ją uwielbiamy i czcimy, jak Jej się to słusznie należy.

Jeżeli czcząc bohaterów ojczyzny, czcimy zarazem ich matki, to dla czegoż nie mielibyśmy czcić i uwielbiać Maryi, jako Matki tego najwyższego Bohatera, którego Zbawicielem swoim nazywamy? Zaiste więc nie tylko mamy słuszność uwielbiając Maryę, ale zarazem dobrze robimy, uciekając się do Jej wstawiennictwa, bo jeśli wielka jest potęga monarchy, to także wielki jest wpływ jego matki. Byłoby nierozsądkiem, a nawet bluźnierstwem utrzymywać, że Marya jest wszechmocna, ale ma Ona wielką władzę nad sercem Swojego Syna; nie jest to wprawdzie dogmatem wiary, ale jest prawem rozumu, możemy tedy i powinniśmy modlić się do Niej, ażeby poparła prośby nasze.

Lecz powiedzą tu może nasi przeciwnicy: — „Czyż Jezus nie przyrzekł nam sam, że wysłucha próśb naszych, pocóż się więc uciekać do Maryi?“ — Prawda, że modlitwa do Jezusa wystarcza i żadna inna nie jest nam koniecznie nakazana i uznana za wręcz niezbędną, nie wynika jednak z tego, by Rodzicielka Boża nie była nam bardzo a bardzo użyteczną i po-

mocną; nie byłożby więc nierozsądkiem z naszej strony pozbawiać się tak dzielnego środka.

Zła wiara naszych przeciwników objawia się właśnie w tem, że oni przytaczają jakieś fantastyczne dogmaty, aby później mieć z czem walczyć, podobni w tem do św. Augustyna, który sam pisał o sobie, że przed swojem nawróceniem, wytworzył był sobie z Kościoła jakieś fatamorgana, a potem ciągle z niem walczył.

Nadajemy często fałszywe znaczenie słowu „wzywać". Wzywamy Boga jako źródła wszelkiej łaski, wzywamy zaś Maryą jako naszą najpotężniejszą Wspomożycielkę przy bożym tronie.

Bóg jedynie sam przez zasługi Jezusa Chrystusa, udziela nam łask, na które sami nigdybyśmy nie zasłużyli, ale zarazem przyjmuje i wysłuchuje prośby, które Marya za nami zanosi, dla czego więc nie mielibyśmy dziękować Jej za otrzymane przez Nią łaski? Jeżeli dla objawienia Jej naszej wdzięczności nazywamy Ją auxilium Christianorum, to któż może utrzymywać, że tem ubliżamy Jezusowi? Czy — kto nie czci matki, będzie przez to lepiej czcił syna?

Utrzymują dalej, że Ewangelia nie daje żadnej podstawy do czci Maryi, a przecie to w Ewangelii czytamy słowa Archanioła: „Zdrowaś Marya, łaskiś pełna". Wszak Ewangelia przytacza słowa św. Elżbiety: „I skądże mnie ten zaszczyt, że matka Pana mojego mnie

nawiedza. Błogosławionaś między niewiastami, i błogosławion owoc żywota twego". A dalej, przecie to Ewangelia przytacza hymn Niepokalanej Dziewicy: Ex hoc beatam me dicent omnes generationes.

Utrzymują, że my odstępujemy od Ewangelii uwielbiając Maryą, gdy przeciwnie oni to czynią, idąc w tem za upadłym aniołem.

My naśladujmy św. Elżbietę, przyjmujmy Matkę i Syna, kiedy nasi przeciwnicy robią jak owo nieszczęsne Betleem, które ma u siebie Mesyasza, a nie chce dać przytułku Matce.

Bóg sam począł Jezusa, ale za pośrednictwem Maryi. Przypatrzcie się życiu Jezusa. Pastuszkowie, którzy Go szukają, znajdują Go na rękach Maryi; Trzej Królowie ze Wschodu przybyli dla Jego uczczenia, znajdują Go również na łonie Maryi; nawet i poganie nawracają się do Jezusa za pośrednictwem Maryi, a jeden z wielkich Świętych powiedział, że stawiając przed ludźmi obraz Maryi, ukazuje im — Jezusa.

Dla tego niełatwo można zrozumieć nierozsądek naszych zbłąkanych braci, którzy wznosząc w swoich świątyniach pomniki ludziom zasłużonym i sławnym, żądają, by obraz Maryi był z kościołów usunięty. I w jakiże sposób mogą oni obchodzić — jeżeli to czynią — tajemnice naszego Odkupienia, nie zwróciwszy myśli do Maryi? Przecież Ewangelia mówi nam, że to Marya złożyła na sianie w żłóbku swą Boską Dziecinę, że Marya od-

nalazła Go w świątyni, gdzie Jezus raczył już objawić swoją mądrość. Wszakże to Marya towarzyszyła Mu na górę Kalwaryi, to Marya płakała stojąc pod krzyżem, to znowu Marya, która Umarłego przyjmuje w swoje objęcia, i w końcu składa do grobu. Jakże można święcić tajemnice Jezusa, a nie uczcić miłości i boleści Maryi? Jak nie wielbić Tej, co przyjęła i pierwszy uśmiech i ostatnie tchnienie Jezusa?

Szanowni słuchacze! Protestantyzm możemy zaliczać do sekt bardzo świeżych, gdyż wiek XVI należy już do epoki nowoczesnej; z pojawieniem się tego odszczepieństwa Marya była już czczona od 16 wieków, jakże więc oni śmią niszczyć kult tylu wieków i serc tylu?

Wszak czasów jeszcze apostolskich sięga cześć dla Maryi: zanim ci Dwunastu się rozejdą, układają Skład apostolski dla wiernych w Chrystusie, a w tem zwięzłem wyznaniu wiary, wiele dogmatów musiało być dla krótkości pominiętych, jednakowoż Marya ma tam swoje miejsce i to zaraz obok Ojca, Syna i Ducha św.

Prócz Apostołów mamy Ojców Kościoła, jak św. Ignacego z Antyochii, św. Justyna, który wyrzekł się Platona, ażeby pójść za Chrystusem, i który zostawił nam wspaniały traktat, porównywujący Ewę grzesznicę z Maryą naprawicielką. Porównanie to uzupełnił św. Ireneusz, twierdząc, że Marya jest odnowicielką rodu ludzkiego, bo przez Nią po-

tomstwo przeklętych jest zamienione na potomstwo wybranych, a Tertulian kończąc to porównanie, mówi: „Nieszczęście, które sprowadziła Ewa, uwierzywszy wężowi, zostało naprawione przez Maryą, uwierzyła bowiem Archaniołowi". Od tej chwili wszyscy Ją wielbią, wszyscy wzywają Jej pomocy, czego dowodem jest tu Panteon poświęcony czci Matki Boskiej i Męczenników. Czemuż nie mogę dać wam słyszeć owych wspaniałych hymnów, które rozbrzmiewały od wieku do wieku, od Wschodu do Zachodu, od Północy do Południa na cześć Bogarodzicy. Czemuż nie jest mi dane wywołać wam wszystkie te głosy dziecięcej miłości i żarliwego zapału sławiące Jej Imię? Któż nad Maryą świętszy? Kto nad Nią wyższy? Kto więcej wart uwielbienia?

Z wszystkich stron świata wznoszą się śpiewy: Marya! Marya! Oto prawdziwa służebnica Pańska, chociaż Matka Boga — Marya Dziewica i Matka zarazem!

Zaiste Ona jest tak wzniosła, że nikt nie może się z Nią porównać, ani Apostołowie, ani Patryarchowie, ani Prorocy, ani nawet sami Cherubinowie, jednem słowem — żadna istota stworzona!

Tedy, o Matko Jezusa, ja pozdrawiam i uwielbiam Ciebie! Uwielbiam Cię, Ty Korono Kościoła i wołam: Módl się za nami!

Od św. Grzegorza, owego Homera teologii do św. Bernarda; od św. Bernarda do św.

Franciszka Salezego — wszędzie Marya jest wielbiona, wszędzie jest przedmiotem czci i błogosławieństwa. I nie tylko sam Kościół, ale także wszystkie narody, które tylko do niego należą, objawiają tę cześć.

Północna Polska, wzywa Ją jako swą Władczynię, koronując Ją na Królowę Korony Polskiej, Portugalia ofiaruje się pościć soboty na Jej cześć; Węgry, Anglia niesłychane Jej oddają honory, Francya nazywa się królestwem Maryi, a Włochy są tak zasiane świątyniami i kaplicami poświęconemi Jej czci, iż możnaby słusznie nazwać je ziemią Maryi.

A wśród tych narodów ileż to wielkich ludzi wielbiących Maryą. Książęta upadają przed Nią na kolana, baronowie Flandryi wzywają Jej jako swojej Opiekunki i Jej Imię niosą na sztandarze wojennym. Dożowie weneccy każą się malować w postaci modlącej się do Maryi, a Descartes i Montaigne chcą być przedstawieni z różańcem w ręku.

A dla wieluż to artystów Marya jest natchnieniem! Można powiedzieć, że na usługi Maryi są wszystkie sztuki piękne: malarstwo, poezya, muzyka. Przypatrywałem się sławnemu obrazowi, którego nie zapomnę nigdy; Marya jest tam przedstawiona jako źródło natchnienia wszystkich artystów zarówno średniowiecznych jak i z czasów renesansu.

Nie ma ani jednej lutni, która nie rozbrzmiewałaby na chwałę Maryi, od Dantego, który Ją umieszcza w najwyższej sferze swojego

Raju jaśniejącą wszystkiemi blaskami, aż do najprostszej piosnki ludowej, która Ją opiewa.

Nie ma pendzla, który by się nie kusił przedstawić chwałę Maryi, począwszy od owych nieudolnych malowań w katakombach, a skończywszy na promiennych i wspaniałych tworach Sanzia i Murilla.

Nie ma kościoła, w którymby nie rozbrzmiewała chwała Maryi, i to w najwspanialszych bazylikach, jak i w najskromniejszych kapliczkach kryjących się w samotności gajów.

A któż potrafiłby zliczyć wszystkie zakony, wszystkie stowarzyszenia powstałe i rozwijające się pod godłem Maryi.

Sławni wojownicy, najznakomitsi wynalazcy, najwięksi artyści mogą się mieć za szczęśliwych, jeśli ich sława przeżyje kilka wieków. A oto patrzcie jedna słaba Dziewica twierdzi, że wszystkie pokolenia ludzkości zwać Ją będą błogosławioną. Mówi to do Elżbiety, a potem znika zupełnie z widowni, i nie pojawia się aż na drodze do Golgoty. A przecie słowa tej Dziewicy potwierdziła przyszłość i wszystkie następne wypadki.

Tak moi słuchacze! Nigdy proroctwo wyszłe z ust ludzkich nie spełniło się w sposób tak zdumiewająco doskonały i trzeba uznać, że mogło to się stać tylko za sprawą Najwyższego, który w ten sposób chciał, aby cześć i miłość całej ludzkości otoczyła Jego Matkę.

Gdybyście mi się spytali, dla czego czas, który zwykle wszystko osłabia, nie osłabił jednak czci Maryi, odpowiedziałbym wam ze św. Bernardem, że jest wolą Boga samego, by wszystkie Jego łaski dochodziły nas przez ręce Maryi. Zarazem mógłbym dodać, że cześć ta jest prawie koniecznością i potrzebą serca naszego.

Człowiek nawet posiadając Zbawiciela czuł potrzebę wywnętrzenia swojego serca przed Matką, i Bóg nam Ją dał.

Matka! Jakże to słowo brzmi słodko na ustach, jakże jest sercu drogie. Matka! to uosobienie dobroci, miłości, poświęcenia! Otóż Marya, Matka Jezusa, jest Matką naszą, bo wszyscy staliśmy się braćmi Chrystusa przez Jego wcielenie.

Ale Bóg nie dozwolił, aby to nawet macierzyństwo było bez boleści, i Ona zdobyła nas sobie przez cierpienie, które dla nas wycierpiała.

Cóż to za bolesny widok: Jezus wisi na krzyżu tam, na Golgocie, a Marya zalana łzami stoi pod krzyżem. Jezus konający zwraca jeszcze omdlały wzrok na Maryą i wskazując Jej na Jana obok stojącego, mówi: „Oto syn twój", a zwracając się do Jana dodaje: „Oto Matka twoja". Od tej chwili uczucie najwznioślejszego i najczulszego macierzyństwa względem nas napełnia serce Maryi, a miłość Jezusa dla ludzkości przepełnia także Jej duszę.

Wszystko nam dał Bóg w tych wzniosłych słowach: „Oto matka wasza“. To oddanie nam Swojej Matki było jakby ostatnią wolą Jezusa i najwspanialszem stwierdzeniem Jego niezmiernej ku nam miłości. Oddał On dla nas wszystko: swoje cierpienia, swoją krew i swoje życie, została Mu tylko jeszcze Matka, więc nam Ją daje w ostatniem tchnieniu swojego konania. I odtąd naszą matką jest Matka Jezusa! Jeden z ziemskich aniołów, św. Stanisław Kostka, zastanawiał się często nad tem i z uniesieniem powtarzał: „Matka Jezusa, jest Matką moją“.

W jakiż to sposób możemy okazać naszą wdzięczność Jezusowi za ten dar? Jakąż drogą możemy żądać od Niego największych błogosławieństw?

Oto — mając największą ufność w Maryi i uciekając się do Niej często.

Uciekajmy się więc do Niej w jakiemkolwiek znajdziemy się położeniu. Ona potrafi być naszą skuteczną Orędowniczką, i chociaż nasze rany byłyby nie wiem jak bolesne, potrafi je zgoić, chociażby serce nasze było nie wiem jak złe i zatwardziałe, Ona potrafi je zmiękczyć.

Uciekajmy się więc do Niej, bracia moi, i to nie raz jeden, ale ciągle, codziennie, wieczorem i rano, a Ona nas oświeci, pocieszy i zbawi. I dla czegoż wątpić?

Czy wątpicie o Jej potędze? Wszak Ona, będąc Matką Boga, może otrzymać wszystko.

Czy wątpicie o Jej dobroci? Ależ Ona jest naszą Matką — czy to nie dosyć powiedzieć.

O, jakżeście wy biedni i jakże was żałuję, jeżeli nie rozumiecie, co się mieści w tem jednem słowie: m a t k a! Kto tego nie czuje i nie rozumie, ten chyba okazuje, że nie znał swojej matki, że nie zaznał nigdy ani Jej pieszczot, ani Jej czułych pocałunków, i nie widział nigdy Jej pełnego miłości uśmiechu. Marya jest naszą prawdziwą i najczulszą Matką, więc uciekajmy się do Niej.

Matki, uciekajcie się do Maryi i polecajcie Jej dzieci swoje. Dziewice, powierzajcie Maryi swą niewinność. Młodzieńcy, powierzajcie Jej swą cnotę i odwagę. Biedni, powierzajcie Maryi swoje nędze, swoje obawy, a będziecie z pewnością wzmocnieni i pocieszeni, bo jeżeli zwykła matka nie opuści nigdy dziecięcia, gdy widzi jego cierpienie, czyż może tego dopuścić się Marya?

Pewnego wieczoru po bitwie z Abbdel-Kaderem, pod namiotem oświeconym wiszącą latarnią leżał pewien wysokiego stopnia wojskowy ciężko ranny. U nóg jego żona i córka, a przy boku syn, lekarz wojskowy. Napróżno kobiety zaklinają umierającego, aby się pojednał z Bogiem, syn nie łączy się do próśb matki i siostry, gdyż on sam nieraz wyśmiewał żołnierzy, którzy umierając myśleli o duszy. Nagle przychodzi kryzys, a kobiety sądząc, że to już ostatnia chwila padają na kolana, wo-

łają: „Maryo! Maryo! zlituj się!“ Na słowa te umierający otwiera oczy i pyta: „Co powiedziałyście, jakie wymówiłyście słowo? Czyż nie powiedziałyście: — Marya?“ I opowiada im, że w r. 1812 przyjął pierwszą komunię świętą w górzystej swojej ojczyźnie. W tych czasach Francya potrzebowała żołnierzy, ponieważ tylu poległo ich w ostatnich wojnach; powołany był także i on. A kiedy miał już odjeżdżać, tamtejszy proboszcz powiedział mu: „Przyrzeknij mi, że nie odmówisz niczego, o co cię poproszą w Imię Maryi. I teraz, gdy żądacie w tem Imieniu, nie mogę odmówić“. Zawołano kapelana, umierający wyspowiadał się, przyjął ostatnie Sakramenta i umarł odmawiając różaniec i szepcąc do swoich drogich: „Zobaczymy się w niebie“.

Syn przepędził całą noc przy zwłokach, a nazajutrz postanowienie jego było już powzięte. Z apostoła niewiary stał się apostołem wiary; wziął dymisyę, przepłynął morze, i po trzech latach trudnego nowicyatu został wysłany do Indyi jako misyonarz, gdzie wkrótce zginął śmiercią męczeńską.

Siostra jego została siostrą miłosierdzia, i równie padła ofiarą swojego poświęcenia.

Matka ich umarła jak święta. I na to by się to wszystko stało, wystarczyło, iżby dwie osoby padły na kolana i wymówiły tylko to słowo: „Marya!“ — Marya wstawiła się za nimi i Bóg Ją wysłuchał.

Słuchacze moi, jeżeli mamy krewnych i przyjaciół oddalonych od prawdy, wzywajmy tylko Maryi; Ona wysłucha nas i wstawiwszy się do swojego Pana i Syna, wyjedna dla naszych drogich łaskę światła i łaskę wiary!

XI.

Jezus Chrystus.

Jest znak, który panuje nad stworzeniem, który tryumfuje nad królami i narodami naszego planety, i który sam rozszerzając się nad dwiema półkulami, rozszerza wszędzie światło w około siebie.

Sądzicie może, że jest to znak zjednoczenia i zgody? Przeciwnie — jest to znak niezgody; gdyż jest przedmiotem ciągłych zatargów, i ciągłych walk staczanych z jego powodu. Jedni patrzą się na niego z miłością, drudzy odpychają go i przeklinają.

Tym znakiem świetlanym, wzniosłym, ale znakiem sprzeciwieństwa, to Jezus Chrystus.

Nie myślę tu mówić o każdej duszy poszczególnej, chociaż Jezus jest dla każdej duszy znakiem sprzeciwieństwa, gdyż — jak pisze św. Paweł — w każdym z nas jest dwóch ludzi; jeden cielesny, który nienawidzi Chrystusa, drugi duchowy, który Go uwielbia, i w Nim widzi pierwiastek zmartwychwstania i życia.

Lecz nie o tem chcę dzisiaj do was mówić,

mam zamiar zastanowić się nad całą ludzkością, nad wszystkiemi narodami i dowieść wam, że Jezus Chrystus jest rzeczywiście owym znakiem sprzeciwieństwa wśród świata.

Z zadziwieniem doprawdy słyszeć można dzisiaj twierdzenie, że wszystkie ludy podają sobie ręce i dążą do wzajemnego zbratania się. A przecież to braterstwo ludów napotyka na wielką przeszkodę, a tą przeszkodą jest właśnie ów znak sprzeciwieństwa Jezus Chrystus. On rozdziela i ludzi i narody i wytwarza dwa światy wręcz sobie przeciwne; świat, który nienawidzi Chrystusa i świat, który Go uwielbia, każdy zaś z tych światów posiada życie sobie tylko właściwe. Świat, który nienawidzi Chrystusa, ma ludzką mądrość, która czyni ciągłe postępy, z których jest dumny i których używa, aby podkopać podstawy wiary.

Świat Chrystusa ma także mądrość swoją, mądrość wyższą nad wszystkie inne, ponieważ prawda wypływająca z wiary i prawda wypływająca z rozumu, mają swój pierwiastek w Bogu, a tem samem mogą tworzyć tylko jedną prawdę.

Świat, który nienawidzi Chrystusa, posiada moralność niezależną od praw i zasad, niezależną od wszystkich, albo raczej zależną od wszystkich zepsutych popędów naszej upadłej natury.

Świat, który uwielbia Chrystusa, posiada swoją moralność, którą sam Chrystus ogłosił.

Polityka świata, który nienawidzi Chry-

stusa, jest prosta, jasna i zwięzła: wyrzucić Jezusa z praw, z rodzin i szkół.

Ale świat, który uwielbia Chrystusa, ma także swoją politykę, która jest równie jasna, prosta i święta: uznać Chrystusa i wyznać, że społeczeństwo chrześcijańskie nie może istnieć bez Niego.

W rzeczywistości świat, który nienawidzi Chrystusa, ma siłę straszną, która stworzyła męczenników; jest to siła ta sama, która na Golgocie kazała krzyczeć tłumowi: „Ukrzyżuj go! ukrzyżuj!“

Ale i świat, który uwielbia Chrystusa, ma swoją potęgę opartą na słowie Jego. „*Jesteście w mniejszości, ale się nie bójcie; ja zwyciężę świat!*“ Siła, która zwycięża świat, to wiara, i obalić jej nikt nie potrafi.

Widzimy więc, że mamy dwa światy, zupełnie różne i rozdzielone owym znakiem sprzeciwieństwa, którym jest Jezus Chrystus.

A dla czego się tak dzieje?

Oto dla tego, że Jezus nie jest dostatecznie znany; gdyby Go wszyscy dobrze poznali, wszyscy pospieszyliby za Nim, i w ten sposób skończyłoby się owo rozdwojenie, które grozi takiem niebezpieczeństwem zarówno dla ojczyzny naszej, jak i dla całego świata. Dlatego starajmy się badać Jezusa, i dzisiaj zobaczmy, co o Nim Pismo św. mówi.

Na początku Bóg był sama dobrocią. Tertulian pisze, że Bóg znany był tylko ze swej mądrości i ze swej miłości. Bojaźń była nie-

znana i wszystkie stworzenia łączyły się z sobą we wspaniałym hymnie dziękczynienia. Lecz niestety przez bunt zarówno aniołowie jak i ludzie wytworzyli sami przepaść sprawiedliwości i kary. Jan św. w Apokalipsie mówi, iż przyszła nieszczęsna chwila, w której gniew zajął miejsce miłości. Straszna chwila; wielkie milczenie zapanowało w niebiosach, i Lucyfer ze swojemi towarzyszami został strącony w przepaść.

Adam i Ewa w raju poszli na wygnanie, ponieważ jednak byli mniej winni, Boska sprawiedliwość nie zaciążyła nad nimi z taką surowością, jak nad zbuntowanymi aniołami.

Chociaż skazani na cierpienie i śmierć, mieli przynajmniej tę pociechę, iż usłyszeli Boga mówiącego do węża: *„Położę nieprzyjaźń między tobą a niewiastą, i ona zetrze głowę twoją“*. Wychodząc z raju nasi pierwsi rodzice, wynieśli przynajmniej tę obietnicę, które ich równie jak ich następców umacniała wśród rozlicznych przeciwności.

Owe to słowa utrzymywały w ciągłej nadziei biedne ludzkie plemię, aż do czasu, w którym spełniło się dzieło Odkupienia.

Dzieło to zapowiadały różne proroctwa, których błyski pojawiały się wszędzie, nawet wśród pogaństwa, wydając np. w Grecyi takiego Sokratesa i Platona, a w Rzymie Wirgiliusza, który wyraźnie przepowiadał królestwo nowej ery i pokój świata. Nawet wśród dzikich Germanów, nawet na wyspach najodleglej-

szych, wszędzie znajdujemy te promienie Boskiego światła.

Ale Bóg nie chciał poprzestać na owych słabych promyczkach wśród pogaństwa i dla tego stworzył sobie lud w Judei, lud Izraelski i prowadził od narodu do narodu, ażeby on wszędzie objawiał cuda przeszłości i tajemnice przyszłości. Ułatwić drogę Chrystusowi było jego posłannictwem, to też w wieloraki sposób Bóg objawia tajemnice Chrystusa w tym ludzie, tak iż św. Tomasz słusznie mówi, że cała historya owego ludu izraelskiego i wszystkie jego najważniejsze momenta, były tylko figurą objawiającą Chrystusa, i wraz z św. Augustynem powiada: „*Tota Scriptura Christus sonat*".

Baranek wielkanocny, wąż bronzowy, zasłona w świątyni, manna na puszczy, wszystko to jest tylko obrazem Chrystusa i naszego Odkupienia; a także najsławniejsi ludzie z tego narodu przedstawiają w pewien sposób Chrystusa.

Abel zabity przez własnego brata; Melchizedech używający do ofiary chleba i wina; Izaak, który wychodzi na górę sam niosąc drzewo, na którym ma być ofiarowany; Józef, który sprzedany przez swoich braci, ma następnie stać się ich wybawicielem; Mojżesz, który wyprowadza swój lud z niewoli Faraonów, wszyscy oni są obrazem Chrystusa.

Nie skończyłbym nigdy, gdybym chciał się zapuszczać w dalsze podobieństwa; to tylko jest pewną rzeczą, że z wieku na wiek Jezus

objawia się coraz jaśniej i wyraźniej zanim przyjmie postać ludzką w łonie Swojej Matki. Prorocy przewidują Go i wzywają; Jeremiasz nazywa Go naszym Sprawiedliwym; Izajasz naszym potężnym wodzem, i na tysiąc lat pierwej układają Jego biografią. Przypatrzmy się jej, bo jestto jeden z najpotężniejszych argumentów Bóstwa Chrystusowego.

O niczem tu nie zapomniano i wszystko przedstawia się jasno, jakby rzecz już spełniona.

Z jakiegoż plemienia wyjdzie niewiasta, która zetrze głowę wężowi? Wyda ją plemie Abrahama, ponieważ Bóg rzekł do niego: *„Wynijdź z ziemi twojej, i od rodziny twojej, i z domu ojca twego, a uczynię cię narodem wielkim. A w tobie będą błogosławione wszystkie narody ziemię. In te benedicentur universae cognationes terrae* (Gen. 12, 3). Lecz Abraham ma dwóch synów a oto Bóg okazuje się Izaakowi mówiąc, że narody będą błogosławione w nim i w Tym, który z niego wyjdzie. Lecz znów Izaak ma dwóch synów Ezawa i Jakóba, Bóg zaś okazując się Jakóbowi, mówi: *„Błogosławić ci będę, i rozmnożę nasienie twoje, jako gwiazdy niebieskie i jako piasek, który jest na brzegu morskim, i błogosławione będą w nasieniu twojem wszystkie narody ziemię“. Benedicentur in semine tuo omnes gentes terrae* (Gen. 22, 17—18). Ale Jakób ma dwunastu synów, którzy stają się głowami dwunastu pokoleń, któreż więc będzie przeznaczone na wydanie Mesyasza? Jakób leżąc na łożu śmiertelnem, żegna

się z otaczającymi synami i natchniony od Boga, święty starzec w ostatniem swojem tchnieniu zwraca się do Judy i mówi: *Judo! Ciebie będą czcić bracia twoi, będą ci się kłaniać synowie ojca twojego. Berło nie wyjdzie z rąk twoich, aż przyjdzie Ten, który ma być zesłan, a On będzie oczekiwaniem narodów*". — *Et ipse erit expectatio gentium.*

A z jakiej rodziny narodzi się Odkupiciel? Wszyscy prorocy zgadzają się i wymieniają Dawida jako poprzednika Messyasza: ale kto z rodziny Dawida? Oto posłuchajcie Izajasza: „*Słuchajcie tedy domie Dawidów: Oto Panna pocznie i porodzi syna i nazwą imię jego Emanuel*". (Izaj. 15, 13, 14.) A kiedy się to wszystko stanie, powie nam prorok Daniel w owem sławnem proroctwie, które samo jedno powinno wystarczyć do nawrócenia wszystkich niedowiarków:

„*Od czasu edyktu na odbudowanie Jerozolimy aż do przyjścia Chrystusa upłynie siedem tygodni (lat) to jest 49 lat, i sześćdziesiąt dwa tygodnie (lat) to jest 434 lat, razem upłynie 483 lat, potem Chrystus będzie wydan na śmierć; lud, który go odepchnie, nie będzie już Jego ludem, ofiary ustaną w synagodze, spustoszenie będzie w świątyni, i trwać będzie aż do spełnienia wieków i na zawsze*".

I cóż na to powiecie mi moi panowie?

Czyż to nie jest rzecz zdumiewająca i godna zastanowienia?

Ale to jeszcze nie wszystko, gdyż prorocy

przepowiedzieli także wszystkie najdrobniejsze szczegóły z Jego życia, a Dawid wspomina nawet i o tych trzech królach, którzy przybyli ze Wschodu ofiarując kadzidło i złoto.

A dalej posłuchajcie o Jego boleści i poniżeniu. Już naprzód wiemy, że przejdzie przez ziemię jako biedny pielgrzym, który nie podniesie głosu, nie złamie trzciny i pozostanie bez zaszczytów między synami ludzkiemi. Ubogi, będzie musiał pracować i od dzieciństwa pozostanie łagodnym i posłusznym.

Później pójdzie szukać zgubionych owieczek, będzie podnosił słabych wzmacniał niedołężnych, a wszystkich będzie prowadził po drodze sprawiedliwości. Będzie pocieszycielem strapionych i będzie czynił cuda, uzdrawiając ślepych, głuchych, niemych, a jednak mimo tych wszystkich dobrodziejstw, będzie przedmiotem nienawiści dla wielu.

A jakaż będzie śmierć Jego i męka? Będzie ona bez piękności i bez wspaniałości. Stanie się jak ostatni z ludzi: człowiek boleści. Weźmie na siebie wszystkie nasze grzechy, i z tego powodu będzie jakby opuszczony od Boga. Ale za to my będziemy uzdrowieni. Cierpieć On będzie, ponieważ będzie chciał cierpieć za nas, i nigdy nie otworzy ust dla skargi, ale stanie się podobnym do baranka idącego na rzeź, i w końcu umrze w boleściach osądzony przez sędziów.

Czyż wam się nie zdaje, że się znajdujecie na Kalwaryi i macie to wszystko przed oczyma.

A jednak prorocy nie ograniczają się do tego; widzą daleko jeszcze więcej. Widzą jak ludy zbuntują się przeciwko Jezusowi, widzą uczniów uciekających, a nawet widzą jednego, który Go zdradzi pocałunkiem, i sprzeda za trzydzieści srebrników.

Widzą dalej Jezusa policzkowanego, wyśmianego, policzyli kości Jego, widzą ręce i nogi przebite gwoździami, widzą Go pojonego żółcią i octem, widzą jak żołnierze rzucają los o Jego szatę, dalej widzą Jego pogrzebanie, i wyjście z grobu w jasności i powrót na łono Ojca niebieskiego. Oto jak przepowiadają prorocy. Czytając ich księgi możnaby myśleć, że oni opisują obraz, który w rzeczywistości już widzieli, i wtedy musimy koniecznie zawołać z Bossuetem: „Cóż to za rzeczy niesłychane, cóż to za cuda! Jakże można nie widzieć w tem dzieła Bożego?“

Cóż można zarzucić owej przedziwnej zgodzie, która panuje wśród owego mnóstwa proroctw przepowiadających przyjście Chrystusa na wiele wiele wieków naprzód?

Czy może powiemy, że się zmówili? ależ oddalenie miejsc i czasów zaświadcza, że takie przypuszczenie jest niedorzecznością.

Czyż będziemy powątpiewali o autentyczności tych proroctw?

Lecz to również jest niepodobieństwem, były one bowiem znane o wiele pierwej przed przyjściem Chrystusa i upłynęło blisko 500 lat między ostatniem proroctwem, a faktami, które

się przydarzyły; na 300 zaś lat przed Chrystusem wszystkie te proroctwa były tłomaczone na inne języki i znane przez to całemu światu.

Może powiecie dalej, że to skutkiem przypadku?

Lecz zastanówmy się, że przypadek mógłby chyba mieć miejsce co do jednego faktu, ale nigdy wobec szeregu całego faktów będących ze sobą w ścisłym logicznym związku; zastanawiając się nad tem, trzeba koniecznie uznać, że nie może to być pod żadnym warunkiem dzieło ludzkie, ale wyraźny palec Boży, wskazujący i na Jego mądrość i na Jego potęgę.

Dosyć jest przebiedz Ewangelią, ażeby się przekonać, że wszystkie te proroctwa spełniają się w sposób cudowny w Chrystusie, i taka jest zupełna zgodność między Starym a Nowym Testamentem, iż gdybyśmy nie byli doskonale przekonani o starożytności tych proroctw, musielibyśmy koniecznie przypuścić, że te szczegóły podają chyba historycy już po dokonanych wypadkach.

„I oto dziewica pocznie i porodzi syna, który będzie nazwan Bogiem i człowiekiem“.

Ale gdzie? gdzie narodzi się on Messyasz, ów Odkupiciel narodów?

Powie wam to Micheasz prorok na siedemset lat pierwej:

„A ty Betleem jesteś wprawdzie małe między miastami Judy, z Ciebie przecież wyjdzie Pan

Izraela, Ten, który nie ma ani początku ani końca".

Widzimy więc, że prorocy nie tylko przepowiadają na kilkaset lat pierwej lud, z którego ma się narodzić Odkupiciel, ale zarazem pokolenie, rodzinę, a nawet miejsce urodzenia.

Już Piotr św. powiedział: „Prorocy są świadectwem, które przynoszą na korzyść Chrystusa, i nie wierzyć im prawie niepodobna".

Paweł św. także się do nich ucieka, tłomacząc Prawo Mojżeszowe, i inne ustępy z Pisma św.

Nawet sam Pan Jezus powiedział do uczniów: „To co was niepokoi, nie jest niczem innem, jak spełnieniem proroctw".

Ale powiecie może: Przecież prorocy przepowiadali także, że Odkupiciel jako król potężny zasiędzie na tronie Dawidowym, że rozciągnie swoje panowanie nad całym światem, że poniży nieprzyjaciół swoich, i że panowanie Jego nie będzie miało nigdy końca.

Nie zapominajcie jednak, że prorocy przepowiadali także Jego cierpienia i Jego mękę; co się zaś tyczy Jego chwały, to i tutaj obraz jest prawdziwy, i zupełnie zgadzają się z rzeczywistością, tylko, że przedstawia potęgę i wielkość nadprzyrodzoną.

Bo jakież zresztą królestwo może iść w porównanie z królestwem Jezusa, który panuje nad sercami i nad sumieniami.

I czyż On, jak przepowiadali, nie poniżył swoich przeciwników?

Czyż nie zawstydził demona złego? Czy nie stanowi On ogniskowego punktu Dwóch Testamentów? czy nie jest syntezą świata? czy dzieje całej ludzkości nie rozdzielają się na dwie części: Jego oczekiwania i Jego przyjścia?

Lecz powiedzą mi może: A dla czego żydzi nie uznali Chrystusa?

Ale to jest właśnie naszą chwałą, potwierdzającą nieomylność proroctw, naszą wielkością i tryumfem boskości Chrystyanizmu, ponieważ to nieprzyjęcie Chrystusa przez żydów jest jasno przepowiedziane.

Kto zaś utrzymuje, że wszystko to stało się przypadkowo, temu odpowiemy z Lacordairem: „Nie ma przypadku, któryby trwał 1900 lat".

Ktoby zaś chciał utrzymywać, że Jezus badając proroctwa, przystosował do nich swoje życie, odpowiemy: — „Jakże można obrać sobie miejsce i czas swojego narodzenia, jak można znaleść Judasza, który naprzód zdradza Go pocałunkiem, następnie sprzedaje za 30 srebrników i w końcu biegnie się powiesić? A dalej, jakże umrzeć na krzyżu, zmartwychwstać i kazać się uznać i uwielbiać jako Bóg?

Moi panowie! Gdy się tylko cokolwiek zastanowicie, musicie koniecznie odrzucić wszystkie te fałszywe doktryny i uznać, że jedynym naszym obowiązkiem względem Jezusa jest uznać Go i uwielbić.

A jednak jakże często jesteśmy dalecy od wypełnienia tego najprostszego obowiązku?

Przypatrzmy się jeszcze Jego męce i śmierci. Kiedy z wyżyny krzyża Jezus wyrzekł to wzniosłe słowo: „*Consummatum est*“, wtedy cała ludzkość rozdzieliła się na dwa obozy.

Już pod krzyżem utworzyły się dwa stronnictwa, jedno które bluźniło Jezusowi, i nie dawało nawet spokojnie skonać Temu, który rozszerzał ramiona, ażeby ogarnąć świat cały; drudzy przeciwnie wznosili głos, który przenikając wszystkie wieki, doszedł aż do nas: „*Charitas Christi urget nos*“.

I czy to samo nie dzieje się dzisiaj? i czy i dzisiaj Chrystus nie ma wielbicieli Swoich i wyznawców, a z drugiej strony czy nie ma tak zażartych przeciwników? Mówią oni: „Nam wystarcza ludzka natura, nie chcemy Chrystusa, nie chcemy Jego religii, my to wszystko odpychamy“.

Lecz jakto? Bóg przyszedł na ziemię z miłości ku nam, przyoblekł się w nasze ciało, mówił naszym językiem, leczył chorych, przywracał do życia umarłych, oddał się dla nas na zniewagi i cierpienia, dla nas był ubiczowany, dla nas ukoronowany cierniem, dla nas znosił straszne męki konania, a my ośmielamy się Go odpychać i znieważać? Zastanówcie się moi panowie, miłość nie jest igraszką i nie można być na próżno kochanym przez Boga, i to kochanym aż do ostateczności. I dlatego to powiedziano, że nie sprawiedliwość, ale miłość jest pozba-

wioną miłosierdzia, dla tego powiedziano, że nie powinniśmy bać się gniewu lwa, ale gniewu baranka. Miłość jest życiem albo śmiercią, gdy zaś odnosi się do Boga, jest życiem albo śmiercią wieczną. Byłoby szaleństwem, byłoby nikczemnością, byłoby największą podłością powiedzieć: „Ja ciebie nie znam“ do tego Boga, który przyszedł na ziemię, ażeby znieść wszelkie cierpienie dla naszego odkupienia, do tego Boga, którego na krzyż przybiła miłość ku nam, do tego Boga, który za to wszystko żąda od nas tylko miłości. Jezus, podobny do wspaniałej gwiazdy, nie może być pozbawiony satelitów, przeto cała ludzkość powinna dać mu się powodować i dążyć powinna do Niego jako do swojego środka, około którego musi ciągle się obracać.

A ktokolwiek się wykolei, spotka go los każdego niebieskiego ciała, które się oddali od swojego słońca.

*

„Oportet Christum regnare“.

W tem słowie Pawła św. mieści się wszystko, cokolwiekby o Chrystusie powiedzieć można.

Tak! powinniśmy wszyscy głosem wielkim wołać: „Trzeba, iżby Jezus panował“.

Jestto konieczność wielka, konieczność wyjątkowa, konieczność zarówno w niebie jako i na ziemi.

„Oportet, oportet!“

Wszystko jest podległe prawom Bożym, wszyscy ludzie zależą od Boga, i każda istota rozumna musi uznać i zawołać: „Jest rzeczą konieczną, iżby Jezus panował“.

A jednak w ciągu tych dziewiętnastu wieków szatan i świat spiskują ciągle, ażeby obalić to panowanie — i zawsze napróżno.

Przypatrzcie się dziejom ludzkości, badajcie historyę. Wieleż to państw potężnych runęło, wieleż systemów znikło, i wiele przesądów zostało zdmuchniętych jakby podmuchem wiatru, a panowanie Chrystusa trwa ciągle i trwać będzie wiecznie.

Lecz dziś nie wierzy się już historyi, nie wierzy doświadczeniu; wieleż to dzisiaj pocisków wymierzonych jest przeciw Kościołowi, owej Oblubienicy Chrystusowej.

Lecz pozwólcie moi panowie, że się was zapytam: — „Wierzycie i wy, albo nie wierzycie, że Jezus Chrystus jest Bogiem? Jeżeli nie wierzycie, wtedy dzieło Jego, to jest Jego religia, która jest już tak stara, a nawet daleko starsza niżeli przypuszczacie, przeżyć się koniecznie musi, a więc zamiast zniżać waszą uczoność do walki z prostym zabobonem, oczekujcie raczej jego niedalekiej śmierci. Lecz jeżeli wierzycie, że Chrystus jest Bogiem, to na co ta wasza cała zaciekłość? Przecież po-

winniście mieć na tyle rozumu, ażeby wiedzieć, że dzieło Boga nie boi się ani waszych gniewów, ani umiejętności ludzkiej, gdyż dzieło Boże jest niezniszczalne, a wszystkie wasze gniewy służą tylko za tem doskonalsze potwierdzenie słów Proroka. Wiedzcie, że nie pozostawiwszy po sobie żadnego śladu, zginiecie tak nędznie, jak zginęli Nerony, Domicyany i inni tyrani, a panowanie Chrystusa trwać będzie na wieki.

Obecnie upływa 2500 lat jak Izajasz przepowiadał zagładę narodom, które nie będą posłuszne Jezusowi, a blisko 1900 lat, jak Paweł święty wołał: „*Oportet illum regnare*".

I całe wieki przepływają pod krzyżem Jezusa, przepływają i czynią pokłon wołając: — „Chrystus zwycięża, Chrystus rozkazuje, Chrystus panuje".

I od dziewiętnastu wieków brzmi ciągle ów hymn proroczy.

Nie wiem, czy wiek nasz będzie miał swojego następcę, ale to wiem, że nic nie zepsuje owej zdumiewającej harmonii, gdyż przyrzeczenia Boże spełniają się nieodwołalnie a On przysiągł, że panowanie Chrystusa nie będzie miało końca, „*Regni ejus non erit finis*".

I kiedy gwiazdy i słońce utrudzone swoim odwiecznym pochodem w proch się rozsypią, gdy nie będzie już ani wschodu ani zachodu słońca, wtedy na ziemi ukaże się wspaniały krzyż, ażeby głosić śmiertelnym: „Kto ze

mną umiał cierpieć, ze mną będzie się weselił!“ a całe niebo zabrzmi pieśnią: „Chrystus zwyciężył, Chrystus panuje, Chrystus tryumfuje!“

I oby wtedy zlitował się nad nami. Amen.

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C096413505